Rok IX. Sierpień 1903. Nr. 8.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

MIESIĘCZNIK

POSWIĘCONY POLITYCE NARODOWEJ

ORAZ ZAGADNIENIOM ŻYCIA SPOŁECZNEGO, EKONOMICZNEGO I UMYSŁOWEGO.

Redakcya i Administracya: Kraków, ul. Jabłonowskich, 9.

SKARB NARODOWY.

Jakkolwiek o Skarbie Narodowym wiele się u nas w kraju przez kilkanaście lat jego istnienia mówiło, jest to właściwie dotychczas instytucya wychodźcza. Założona z inicyatywy najwybitniejszego przedstawiciela naszej emigracyi politycznej, pułkownika Zygmunta Miłkowskiego (T. T. Jeża), zorganizowana przez wychodźców, oparta o Związek Wychodztwa Polskiego, zdołała ona pozyskać ogromną popularność wśród nielicznych już dziś wychodźców naszych z r. 1863, rozsianych po Europie, a skupionych w większe grupy we Francyi i Szwajcaryi, oraz wśród milionowej społeczności polskiej w Stanach Zjednoczonych Ameryki, gdzie Skarb został energicznie poparty przez silną organizacyę Związku Narodowego Polskiego. W kraju jedni napadali na Skarb i rzucali nań oszczerstwa, inni go bronili, ale składki płynęły powoli. I jeżeli fundusz Skarbu wynosi dziś skromną, ale na nasze stosunki wcale znaczną sumę 260.000 franków, to trzeba pamiętać, że dziesiąta zaledwie część tej sumy wpłynęła bezpośrednio z kraju, resztę zaś złożyło lub przez swoje organizacye zebrało nasze europejskie i amerykańskie wychodztwo.

Od czasu zjawienia się programu stańczykowskiego, po którym nastąpiły inne, dalej jeszcze idące w narodowej abdykacyi, w pewnych sferach weszło u nas w modę złorzeczyć emigracyi i wystawiać ją jako żywioł, nieustannie pracujący nad tem, żeby kraj zgubić, nowe klęski nań sprowadzić. Założenie Skarbu Narodowego dało nowe hasło w tym kierunku: posypały się narzekania, klątwy, insynuacye, oszczerstwa wreszcie, a poważni nawet skądinąd ludzie mówili tak, jakby tu chodziło co najmniej o fundusz na niezwłoczne zakupy armat

do nowego powstania. Kampania też, jaką przeciw Skarbowi poprowadzono, używając częstokroć nieuczciwych środków, zdepopularyzowała instytucyę w szerokich kołach, wytwarzając względem niej najbardziej nieuzasadnione uprzedzenia.

Tymczasem fundusz Skarbu usiłowaniami wychodztwa rósł powoli i w r. 1895, w osiem lat po założeniu instytucyi przekroczył sumę 100.000 franków. Od tej chwili według ustawy Skarbu $^2/_3$ odsetków jego stały się rozporządalnemi i mogły być oddane właściwej organizacyi krajowej na bieżące prace narodowe. Z prawa swego rozporządzenia tymi odsetkami Komisya Nadzorcza Skarbu skorzystała niezwłocznie i rozporządzalny grosz oddała Lidze Narodowej. To użycie odsetków zostało sympatycznie przyjęte przez opinię wychodztwa polskiego zarówno w Europie, jak w Ameryce, a fakt ten stał się najlepszym dowodem, że emigracya nasza nie myśli narzucać krajowi żadnej polityki, ale uznaje kierownictwo krajowej organizacyi ruchu narodowego i tylko stara się pracom jej choć w skromnej mierze materyalnie pomagać. Od tego czasu stosunki między wychodztwem a robotami narodowemi w kraju tylko się zacieśniły, ci zaś ludzie z kraju, którzy się z przedstawicielami wychodztwa na gruncie spraw politycznych stykali, coraz więcej mieli z ich strony dowodów obywatelskiej lojalności, godzącej się częstokroć na rzeczy nowe, mniej odpowiadające wytworzonym na wychodztwie pojęciom, dlatego że wyszły one z kraju, że są wyrazem rozwijającego się w samem społeczeństwie życia narodowego. I ten, kto miał oczy otwarte, musiał widzieć, że wychodztwo nasze nie patrzy na Skarb Narodowy jako na fundusz pomocniczy dla swojej, jakiejś specyalnie emigracyjnej polityki, ale jako na fundusz narodowy, krajowy, służący potrzebom kraju tak, jak czynne w nim żywioły narodowe uznają to za potrzebne, a tem tylko związany z wychodztwem, że to ono go dla kraju ufundowało, jako pamiątkę swego przywiązania do sprawy narodowej i podstawę narodowych działań na przyszłe lata.

Jeżeli trafiali się wśród wychodztwa, a nawet blizko samej instytucyi Skarbu ludzie, którzy chcieli ten związek Skarbu z pracą narodową w kraju naruszyć, w imię tego jakoby, że sprzeniewierza się ona dawnym ideałom emigracyi polskiej, czy też, że nie zgadza się z ich osobistemi formułkami politycznemi, jeżeli przychodziły komu zachcianki wskazywania narodowi

dróg politycznych z za Alp i Wogezów wbrew prądowi idącemu z kraju, to właśnie nie zdarzało się to z ludźmi, należącymi faktycznie do naszego wychodztwa powstaniowego, ale z dobrowolnymi emigrantami, którzy później osiedlili się na Zachodzie i wzięli udział w pracach wychodztwa, do których należycie nie dorośli.

Niezależnie od doniosłej roli, jaką Skarb Narodowy może w naszych przyszłych pracach i działaniach politycznych odegrać, instytucya ta pozostanie zawsze jednym z najpiękniejszych pomników polskich, wzniesionym w swych pokaźnych zaczątkach zdala od kraju przez wygnańców z ziemi ojczystej, za której wolność stoczyli byli swego czasu tragiczną walkę, i przez wychodźców za chlebem, którzy znalazłszy go za oceanem w obfitości, część zarobionego grosza odłożyli na potrzeby ojczyzny, z której ciężka potrzeba wygnała ich daleko. Jedni i drudzy odnaleźli się, porozumieli przez Ocean i podali sobie ręce w budowaniu wspólnego dzieła na pożytek ojczyzny. Trzeba być bardzo stępionym duchowo, by nie ocenić moralnej tego dzieła wartości.

Ludzie wszakże, mający uznanie dla samej idei Skarbu Narodowego i przekonani, że instytucya taka może odegrać ogromną rolę w naszych sprawach narodowych w przyszłości, nie bez słuszności stawiają sobie częstokroć dwa pytania:

1. jak zabezpieczyć rosnący ciągle fundusz Skarbu od zamachów zainteresowanych rządów, które tem więcej będą interesowały się instytucyą, im wyższa będzie zgromadzona suma?

2. jak się zapewnić, że zarząd Skarbem będzie zawsze we właściwych rękach, że utrzyma on ścisły związek z krajem, z jego potrzebami i kierunkiem jego polityki, że nie uzyskają nań wpływu ludzie niedorośli do tego, w których rękach wielka suma pieniędzy publicznych będzie nożem w ręku waryata?

Na żadne z tych dwóch pytań nie można było dać dotychczas pewnej odpowiedzi.

Jak wiadomo, fundusze Skarbu Narodowego były dotychczas zdeponowane w Muzeum Narodowem w Rapperswilu, a dyrekcya Muzeum lokowała je w bankach narówni z funduszami muzealnymi, według swego uznania. Muzeum rapperswilskie jest instytucyą naukowo-kulturalną, ulegalizowaną w Szwajcaryi i jako taka w swoich sprawach całkowicie zabezpieczoną od jakichkolwiek zamachów. Ale nie można tego samego powie-

dzieć o sumach, leżących w Muzeum w depozycie, o ile sumy te przeznaczone są na cele, co do których ingerencya obcych mocarstw na drodze dyplomatycznej jest możliwa. Zdeponowanie sum Skarbu w Muzeum dawało wobec opinii polskiej gwarancyę ich bezpieczeństwa przed roztrwonieniem, oddaniem w niewłaściwe czy niepewne ręce, ale nie zabezpieczało ich od zamachów rządów zaborczych. Nadto nadawało ono charakter polityczny samemu Muzeum rapperswilskiemu, utrudniając jego rozwój i swobodne stosunki z analogicznemi instytucyami w kraju.

Gdy tedy dla Muzeum stosunek ze Skarbem Narodowym stawał się coraz mniej dogodnym, instytucya Skarbu przez zdeponowanie sum w Muzeum nie znalazła należytego ich zabezpieczenia.

W ostatnich czasach odbywała się w tym przedmiocie żywa wymiana myśli między Komisyą Nadzorczą Skarbu a Zarządem Muzeum. Wreszcie opracowano sposób lokowania funduszu skarbowego, który uznano za wszechstronnie korzystny i bezpieczny. Sposób ten musi z natury rzeczy pozostać tajemnicą Komisyi Nadzorczej, główna bowiem jego wartość polega na tem, że wszelkie szczegóły dotyczące sum Skarbu Narodowego przestają być publikowanymi. Zmiana ta znalazła wyraz w uchwale Rady Muzealnej z d. 4 sierpnia r. b., powziętej w porozumieniu z Komisyą Nadzorczą Skarbu Narodowego i Wydziałem Związku Wychodztwa Polskiego, która brzmi:

«Stosunek depozytowy, zawarty przy powstaniu instytucyi Skarbu Narodowego pomiędzy tą ostatnią a Radą Muzeum Narodowego w Rapperswilu zostaje rozwiązany, deponowane zaś fundusze podjęte i wręczone Komisyi Nadzorczej Skarbu Narodowego».

Uchwała ta została już wykonana. Od chwili obecnej tedy nazwy «Skarb Narodowy w Rapperswilu» lub «Skarb rapperswilski» są nieuzasadnione, gdyż instytucya Skarbu nie ma dziś nic wspólnego ani z Muzeum, ani nawet z Rapperswilem samym[1]).

Jeżeli zmiana ta zabezpiecza fundusz Skarbu od zamachów ze strony zainteresowanych rządów, to w drugiej kwestyi, w kwestyi uchronienia funduszu narodowego od dostania się

---

[1]) Urzędową siedzibą Skarbu Narodowego jest miejsce zamieszkania prezesa Komisyi Nadzorczej, pułk. Z. Miłkowskiego (T. T. Jeża) — Zurych, Streuistrasse 31.

z czasem w niewłaściwe ręce, od zużytkowania go na cele niezgodne z potrzebami kraju a nawet wręcz im przeciwne, wbrew samej ustawie Skarbu, nie zmniejsza ona niebezpieczeństwa, ale raczej je zwiększa. Dotychczas fundusz Skarbu znajdował się pod opieką dwóch ciał zbiorowych, obecnie pozostaje w rękach jednego tylko — Komisyi Nadzorczej. Dwa zaś ciała, nawzajem się kontrolujące, dają o wiele większe zabezpieczenie od wszelkich przypadkowych zboczeń.

Zrozumiano tę sprawę w samej Komisyi Nadzorczej Skarbu, gdzie jednocześnie powstała kwestya zwiększenia składu Komisyi i związania jej silniejszymi węzłami z krajem.

Tu trzeba się zastanowić nad właściwem znaczeniem i rolą Komisyi Nadzorczej Skarbu Narodowego.

Komisya musi się składać z ludzi poważnych, szanownych, nieskalanych, znanych z rozwagi i poczucia odpowiedzialności. Nazwiska jej członków muszą dawać gwarancyę, że żaden grosz z funduszu skarbowego nie będzie uroniony, że żaden akt samowoli, z jakichkolwiek pobudek pochodzącej, nie jest w jej łonie możliwy. Ale w najwyższym stopniu niebezpiecznem byłoby przyznawanie Komisyi charakteru ciała politycznego, mającego postanawiać o kierunku polityki narodowej, nakreślać drogi robotom krajowym, popierać z pośród nich te lub inne według swego uznania lub decydować na własną rękę o losie funduszu skarbowego. Biorąc prawnie, rozporządzanie funduszem Skarbu i jego środkami należy do Komisyi Nadzorczej, jako do jego ustawowej opiekunki, ale faktycznie decyzya tu musi należeć do właściwej reprezentacyi narodu i jego polityki, do ściśle związanej ze społeczeństwem jego organizacyi politycznej. Gdybyśmy powyższe atrybucye przyznali Komisyi Nadzorczej, to przy dojściu zwłaszcza funduszu skarbowego do sumy wysokiej, zdolnej wpłynąć na losy kraju, uznalibyśmy ją tem samem za najwyższą władzę narodową. Gdyby zaś Komisya nawet składała się nie z pięciu, ale z podwójnej czy potrójnej liczby członków i gdyby połowę ich brała z kraju, to chociażby ze względu na sposób, w jaki została utworzona i w jaki się powiększa, nie może ona mieć kwalifikacyi na stanowisko takiej władzy. Dzisiejsi też członkowie Komisyi nie pojmują wcale w ten sposób swej roli, jeżeli zaś odzywają się w tym kierunku pretensye, to właśnie ze strony, najmniej mającej po temu danych.

Póki fundusz Skarbu był nieznaczny i póki był zdeponowany w Muzeum, którego Rada mogła odmówić wydania depozytu w razie złego obrotu spraw w Komisyi, można było mniej przywiązywać wagi do organizacyi Komisyi i określenia właściwej jej roli. Dzisiaj wszakże, gdy fundusz się przedstawia poważnie i gdy został podjęty z depozytu w Muzeum, pozostawienie rzeczy w dotychczasowej postaci stało się niemożliwem. Liczba członków Komisyi jest zamała, związek jej z krajem zasłaby, a nawet skład niecałkiem odpowiedni. Członkowie Komisyi, zwłaszcza poważniejsi, należący do wychodztwa powstaniowego, nie wszyscy są ludźmi w sile wieku; w razie zaś śmierci jednego a zwłaszcza dwóch losy całej instytucyi i funduszu narodowego mogłyby być uzależnione od programu, jakiby sobie np. nakreślili p. Lewakowski z p. Gierszyńskim. A tym, przy całej ich uczciwości, niktby przecie nie zechciał powierzyć steru narodowej polityki.

Ten niewłaściwy stan rzeczy zrozumiano w Komisyi i w sferach bliżej Skarbu Narodowego stojących. Pierwszym, tymczasowym krokiem ku lepszemu jest uchwała, powiększająca liczbę członków Komisyi o dwóch. Na te stanowiska powołała Komisya prof. Wacława Gasztowtta z Paryża i dra Leonarda Tarnawskiego, posła na Sejm galicyjski, z Przemyśla. Jeden i drugi wybór należy uważać za bardzo trafny, oba bowiem nazwiska należą do ludzi szanownych, znanych z patryotyzmu i z prac obywatelskich, zasłużonych już dla samej instytucyi Skarbu, do ludzi wreszcie poważnych, od których nie grożą żadne niespodzianki polityczne.

O wiele ważniejszą, bo mającą zasadnicze znaczenie, jest druga uchwała, wprowadzająca do Komisyi członków tajnych, w tym celu, żeby mogli należeć do niej nawet przedstawiciele zaboru rosyjskiego. Uchwała ta wynikła z uznania faktu, że kompletowanie Komisyi Nadzorczej wyłącznie z wychodztwa jest niewłaściwe, zwłaszcza dziś, kiedy zastęp naszej emigracyi powstaniowej szybko się przerzedza, a ludzie, którzy dziś dobrowolnie osiadają na obczyźnie, nie mają danych do tego, by im zarząd tak ważnemi instytucyami powierzać.

Naturalnym skutkiem tej uchwały jest zacieśnienie węzłów z organizacyą polityczną w kraju, ściślej mówiąc — z Ligą Narodową, niema bowiem mowy o poszukiwaniu kandydatów do Komisyi Nadzorczej z zaboru rosyjskiego po za kadrami Ligi.

Tym sposobem organizacya Skarbu pozyska trwałe podstawy w organizacyi politycznej czynnych żywiołów w kraju, a społeczeństwo będzie miało pewność, że instytucya Skarbu a z nią znaczny i rosnący ciągle fundusz narodowy zabezpieczony jest od wszelkich przypadkowych wpływów, a natomiast ściśle uzależniony od żywiołów, przedstawiających kraj, jego aspiracye, potrzeby i kierunek jego polityki.

Z wejściem organizacyi Skarbu Narodowego na tę drogę znikają obawy, ażeby nagromadzony fundusz nie został kiedyś użyty za narzędzie do narzucenia społeczeczeństwu polityki, którą ono od siebie odpycha, do urzeczywistnienia jakichś niewczesnych, czy niedorzecznych pomysłów, żeby nie stał się kiedykolwiek w przyszłości, jak powiedzieliśmy, «nożem w ręku waryata». Przez Ligę instytucya Skarbu w jedyny możliwy sposób uzależnia się ściśle od społeczeństwa i jego opinii, przez nią staje się ona instytucyą krajową w całem tego słowa znaczeniu, a więc tem, czem chciała ją mieć od początku jej ustawa.

Fundusz Skarbu Narodowego nie jest dziś niczem innem, jak funduszem podstawowej, budującej pracy narodowej, «funduszem edukacyjnym», jak go nazwał w swym referacie o potrzebach i charaterze instytucyi sędziwy jej inicyator, pułkownik Miłkowski. Jako taki jest on darem dla ojczyzny od tych, którzy niegdyś za nią krew przelewali, i od tych, co nie zapomnieli o niej w odległych koloniach za Oceanem.

Do społeczeństwa naszego należy dziś ten fundusz powiększać, ażeby mógł on odegrać nakreśloną mu przez założycieli, doniosłą rolę w naszych narodowych pracach.

ZADANIA POLITYKI NARODOWEJ NA KRESACH.

I.

Zasadnicza i istotna różnica pomiędzy t. zw. kierunkiem wszechpolskim a kierunkiem ugodowym polega, jak słusznie zaznaczono, na tem, że pierwszy prowadzi politykę narodowej ekspansyi, drugi — politykę narodowej abdykacyi.

To, co w braku innego, odpowiedniejszego wyrażenia nazywamy ekspansyą narodową, może być dwojako pojmowanem. Po pierwsze — jako rozszerzanie zakresu dążeń i interesów na-

rodu zarówno w dziedzinie politycznej, jak w innych dziedzinach życia duchowego i materyalnego, i nietylko rozszerzanie, ale i podnoszenie ich do wyższej miary. Powtóre — jako rozszerzanie naszego terytoryum narodowego za pomocą osadnictwa polskiego, uświadamiania ludności z pochodzenia polskiej, ale narodowo biernej, lub asymilowania żywiołów, nie mających wyraźnej indywidualności narodowej, wreszcie za pomocą wzmacniania naszych wpływów politycznych i kulturalnych wszędzie tam, gdzie mają one historyczną i przyrodzoną podstawę.

Ekspansya narodowa w jednem i drugiem znaczeniu jest wynikiem przyrostu siły naszej i uświadamiania sobie tego faktu. Rzecz jasna, że jak nie docenialiśmy do niedawna naszej żywotności i siły, tak obecnie skłonni jesteśmy do ich przeceniania. Jest to nieunikniona właściwość każdej reakcyi. Zadań jednak, które polityka ekspansyi narodowej zakreśla, nie można dostosowywać do sił istniejących dziś, że tak powiemy, rozporządzalnych. Naprzód te siły, któremi rozporządzać możemy, nie są należycie wyzyskiwane. Umiejętne ich użycie znacznie je pomnoży. Powtóre, wykreślając zadania polityki i pracy narodowej na długi szereg lat, liczyć się trzeba z naturalnym przyrostem sił naszych zarówno materyalnych jak duchowych. Ten przyrost można i trzeba przyśpieszać. Potrzecie — samo rozszerzenie zadań polityki i pracy narodowej przysparzać musi właśnie sił nowych.

Pod tym względem panują u nas dziwne pojęcia. Było i dziś jest jeszcze popularnem przekonanie, że naród wzmacnia się i krzepi, zacieśniając pole swej działalności zbiorowej, ograniczając jej zadania i jej zakres terytoryalny. Jeżeli sprowadzamy zadania działalności narodowej do pewnej kategoryi czynów i interesów, to pozbywamy się całego, znacznego nieraz zasobu sił, które w wyznaczonej im, ciasnej sferze nie mogą być zużytkowane, nie mogą się rozwinąć. To samo powiedzieć trzeba o zacieśnieniu zakresu terytoryalnego. Frazes o koncentrowaniu siły narodowej na pewnej przestrzeni jest poprostu niedorzecznością, bo siły tej nie można dowolnie skupiać i przenosić. A jednak ta niedorzeczność często jest powtarzana i uchodzi za wyraz rozumu politycznego.

W zaborze rosyjskim była popularną zasada koncentrowania sił narodowych w Królestwie. Konsekwentne jej przeprowadzenie wymagałoby nietylko zrzeczenia się wszelkich praw

naszych na Litwie i Rusi, ale i skazania na zagładę mieszkającego na tem terytoryum żywiołu polskiego, zupełnego przekreślenia wpływów polskich politycznych i kulturalnych. W myśl tej zasady obywatele Polacy niejednokrotnie sprzedawali ziemię Moskalom i kupowali majątki w Królestwie lub domy w Warszawie. W myśl tej zasady inteligentna młodzież polska z krajów zabranych po ukończeniu nauk nie próbowała szukać pola pracy w stronach rodzinnych i nawet w dostępnych dla Polaków zawodach wyzwolonych (medycyna, adwokatura i t. d.), ustępowała żydom i Moskalom. Ponieważ w Królestwie nawet dla sił inteligentnych miejscowych nie było dość pola do pracy zarobkowej, więc szukano jej w Rosyi. Taka emigracya zarobkowa bywa czasem pożyteczną, jeżeli na miejscu pozostaje dostateczna ilość ludzi do wykonywania przynajmniej nieodzownych zadań życia narodowego i jeżeli czasowi wychodźcy pracują na obczyźnie z myślą o powrocie do kraju i wracają istotnie ze zdobytymi kapitałami i doświadczeniem. Ale tego u nas nie było i niema.

Ile sił, i to sił jakościowo bardzo cennych zmarnowało się lub zgoła przepadło wskutek emigracyi z niedorzecznego stosowania zasady koncentracyi narodowej w Królestwie — tego nawet w przybliżeniu obliczyć nie podobna. Ale śmiało powiedzieć można, że w tych samych warunkach zewnętrznych inaczej przedstawiałoby się dziś stanowisko żywiołu polskiego w krajach zabranych, gdybyśmy nie ograniczali tam zadań polityki i pracy narodowej lub nie wyrzekali się zgoła wszelkiej działalności narodowej w tych dzielnicach.

Te żywioły, o których wyżej wspomnieliśmy, można bodaj częściowo uruchamiać i koncentrować. Ale po wycofaniu z wielkiemi stratami moralnemi tych sił polskich, któreby się wycofać dało, pozostałaby na Litwie i Rusi trzymilionowa masa ludności polskiej z konieczności nieruchoma, *glebae adscripta*. Ją musielibyśmy oddać na ofiarę, podpisać na nią wyrok zagłady narodowej. Dosyć sobie przypomnieć, że w ubiegłem stuleciu te właśnie ziemie kresowe wydały w znacznie większym stosunku liczebnym, niż ziemie rdzennie polskie — najwybitniejszych przedstawicieli naszej umysłowości, ażeby ocenić ogrom tej straty, jakąby spowodowało przeprowadzenie koncentracyi narodowej w Polsce etnograficznej, straty, którą dziś częściowo już ponosimy i dotkliwie uczuwamy wskutek zaniedbania działalności narodowej na kresach wschodnich.

To, co powiedzieliśmy, nie daje jeszcze należytego pojęcia o wielkości straty. Nietylko o 3 miliony Polaków na Litwie i Rusi chodzi w tym wypadku, ale o wyrzeczenie się nagromadzonego w ciągu wieków olbrzymiego kapitału przewagi duchowej i materyalnej. Temu zasobowi zawdzięczamy, że pomimo strasznych dla nas warunków prawno państwowych jesteśmy dziś jeszcze jedynie poważną siłą polityczną, kulturalną i nawet poniekąd ekonomiczną w kraju, zajmującym obszar blizko 9.000 mil. kw. i liczącym około 20 milionów mieszkańców.

Słusznie zaznacza autor «Myśli nowoczesnego Polaka», że tylko «chorobliwym stanem duszy narodowej można wytłómaczyć sobie tak wielką liczbę ludzi, którzyby się lekkiem sercem wyrzekli tego dziedzictwa, nie mogąc nawet wiedzieć w dzisiejszych warunkach, na czyją rzecz abdykacyę podpisują».

Zarówno zasada «koncentrowania sił» na terytoryum etnograficznem, jak zasada prowadzenia walki narodowej na jednym froncie — są w gruncie rzeczy bezmyślnemi formułami. Oba te wyrażenia wzięto z dziedziny strategii. Otóż jeżeli wolno brać z tej dziedziny porównanie, to i w niej zasada działania w przytoczone formuły ujęta, byłaby niedorzeczną. Armia słabsza od atakującego ją przeciwnika, gdyby się skoncentrowała na niewielkiej przestrzeni, mogłaby przez czas jakiś skutecznie się bronić, odeprzeć zwycięzko jeden i drugi atak, ale ostatecznie musiałaby uledz przewadze wroga, jak Osman pasza pod Plewną. Właśnie rozszerzenie terenu walki na wielkie przestrzenie daje stronie słabszej szanse zwycięztwa. Boerowie dlatego tak długo opierać się mogli wojskom angielskim, że działali na rozległem terytoryum, co uniemożliwiało przeciwnikom skupienie sił i utrudniało ich ruchy. Jedną z głównych przyczyn naszego niepowodzenia w r. 1831 była właśnie ta okoliczność, że nie udało się rozszerzyć teatru wojny na Litwę i Ruś.

Wogóle te porównania z dziedziny strategii nie mają sensu — czy dotyczą koncentracyi sił, czy zasady walki na jednym froncie.

Frazes o walce na jednym froncie jest w publicystyce naszej bardzo popularnym, chociaż wykazywano już nieraz, że w walce kulturalnej i politycznej naród nie może dowolnie przenosić sił swoich z jednego frontu na drugi. Pomimo to są politycy, którzy poważnie radzą zaniechać wszelkiej walki, nawet wszelkiej pracy narodowej na kresach wschodnich, a natomiast zwrócić wszystkie siły na kresy zachodnie.

Ta polityka opiera się na błędzie logicznym i na fałszu historycznym. Do naszej polityki narodowej w dzisiejszej jej postaci stosuje się niewłaściwie analogię polityki państwowej. Państwo polskie, z części terytoryum utworzone, mogłoby dla odzyskania dzielnic zachodnich zrzec się uroczyście wszelkich pretensyj do prowincyj wschodnich na rzecz Rosyi i w ten sposób zapewnić sobie swobodę działania wobec Prus. Takie uroczyste wyrzeczenia się wszelkich pretensyj w układach międzypaństwowych często się zdarzają i niemal równie często strona, dająca przyrzeczenie, nie dotrzymuje go wcale. Ale nawet państwo polskie, odstępując Rosyi Ruś i Litwę, nie mogłoby zabronić mieszkańcom tych dzielnic prowadzenia walki o prawa narodowe, ani przeszkadzać dążeniu do połączenia ich z Polską.

Fałsz historyczny, na którym się opiera zasada walki na jednym froncie, a właściwie polityka wyrzeczenia się kresów wschodnich dla ratowania zachodnich, tkwi w zdaniu bodaj po raz pierwszy wygłoszonem przez p. Bobrzyńskiego, że jedną z głównych, jeżeli nie najgłówniejszą przyczyną upadku państwa polskiego było zwrócenie się ku wschodowi a zaniedbanie wszelkiej działalności politycznej na zachodzie.

Polityka może i powinna nawet korzystać z wskazań historyi, ale z wielką ostrożnością, z uwzględnieniem tych zmian, które w ciągu wieków dokonane zostały w stosunkach narodowych. To, co było błędem politycznym w wieku XVI lub XVII, może być najwłaściwszą drogą działania w wieku XX i odwrotnie. Jeżeli zresztą był błąd zasadniczy w polityce państwa polskiego, to polega on w istocie swej na zastosowaniu szkodliwej zasady skupiania sił na jednym froncie. Taką tylko naukę wyciągnąć by można z wskazań historyi, gdyby ona istotnie stwierdziła, że zwracając działalność polityczną na kresy wschodnie, wyrzekliśmy się najżywotniejszych zadań narodowych na zachodzie.

Ponieważ nawet rozumni ludzie, ale nie mający gruntownych wiadomości historycznych, powtarzają wyżej zaznaczony pogląd, który daje podstawę fałszywym wnioskom politycznym — należy się z nim chociaż w kilku słowach rozprawić.

Historya właśnie nas uczy, że w okresie największej ekspansyi sił państwa i narodu w XV wieku polityka polska zarówno na wschodzie, jak na zachodzie święciła tryumfy. Kazimierz Wielki zrzeka się wprawdzie pretensyj do Ślązka i Po-

morza, ale raczej dla utrwalenia ładu wewnętrznego w państwie, nie zaś dla zdobyczy na wschodzie. Przyłącza on Ruś Czerwoną, która już dawniej do Polski należała i od XII wieku ulegała wpływom polskim, i utrwala sojusz z Litwą dlatego mianowicie, żeby następcy jego mogli odzyskać utracone dzielnice zachodnie. Sojusz, a następnie unia z Litwą, daje Polsce możność rozgromienia potęgi krzyżackiej i częściowego odzyskania utraconych na zachodzie ziem. Politycy polscy za Jagiełły podejmują myśl odzyskania Ślązka, a nawet przyłączenia do Polski Czech. Za Kazimierza Jagielończyka Polska dochodzi do szczytu potęgi: odzyskuje Pomorze, zdobywa porty nad Morzem Czarnem, utrwala swój wpływ na Wołoszczyźnie i w Multanach. Jeżeli sprawa przyłączenia Ślązka nie dochodzi do skutku, to dlatego tylko, że otwiera się perspektywa połączenia z Polską pod dynastyą jagiellońską Czech i Węgier. Wielkie dynastyczne plany tego króla obejmują nawet Pomorze Zachodnie. Następcy Kazimierza skupują i przyłączają do Polski kilka księztw ślązkich.

Zygmunt Stary zaniedbuje sposobności odzyskania Ślązka i pozwala na utworzenie Księztwa Pruskiego. Ale jednocześnie odstępuje Moskwie Smoleńsk. Nie dla zdobyczy na wschodzie osłabia się Polska na zachodzie, lecz zaniedbuje zarówno wschodnie jak zachodnie kresy. Zygmunt August utrwala panowanie Polski w Kurlandyi i Liwonii, zabezpieczając w ten sposób posiadanie brzegów Bałtyku. Hołdownicze księztwo pruskie, otoczone posiadłościami polskiemi, pomimo pewnej samodzielności, staje się ich częścią integralną. Wielkim było błędem polityki polskiej za Zygmunta III pozwolenie dynastyi brandenburskiej na zajęcie tronu książęcego pruskiego. Ale ten błąd nie stoi w żadnym związku z polityką polską na wschodzie. Popełniono go wtedy, kiedy już się wyrzeczono zamiaru opanowania Moskwy lub osadzenia na tronie carskim królewicza polskiego. Jeżeli zrezygnowano z przyłączenia do Polski Prus Wschodnich — to pobudką w tym wypadku były raczej sprawy szwedzkie, w których chodziło nietylko o interes dynastyczny króla, ale i o opanowanie przez Polskę wybrzeży Bałtyku.

Niema ani jednego faktu w naszych dziejach, wyraźnie wskazującego, że dla zdobyczy na wschodzie poświęcaliśmy żywotne zadania polityki narodowej i państwowej na zachodzie. Poprostu, kiedyśmy byli silni, podejmowaliśmy te zadania za-

równo na zachodnich jak na wschodnich kresach. A kiedyśmy osłabli, poświęcaliśmy na zachodzie i na wschodzie najdonioślejsze nasze interesy dla gnuśnego spokoju. Ograniczanie naszej ekspansyi, zakresu naszej działalności nazewnątrz, szło równolegle z redukowaniem jej zadań wewnątrz państwa i narodu. To rzeczywiście stwierdza nasza historya.

Nietylko w zaborze rosyjskim, ale i w Galicyi często się powtarza frazes o walce na jednym froncie, mianowicie z powodu sprawy ruskiej. Socyaliści i niektórzy radykalni demokraci lub ludowcy dowodzą, że należy wszystkie siły skierować do pracy wśród ludu i dla ludu polskiego w Galicyi zachodniej i na Ślązku austryackim. Nietyle w działalności politycznej, ile w pracy kulturalnej, mającej charakter narodowy, wyraźnie zaznaczają się i ostro nawet ścierają dwa kierunki. Spór między nimi toczy się właściwie o to, czy w Galicyi wschodniej należy prowadzić energicznie pracę narodową, czy też jej zaniechać, t. j. zrzec się obrony interesów polskich w tej części kraju. Bo ci, którzy mówią o konieczności skupienia wszystkich sił i środków działalności narodowej na zachodzie, w gruncie rzeczy rezygnują z Galicyi. Natomiast ci, co twierdzą, że praca narodowa przedewszystkiem w Galicyi wschodniej powinna być prowadzona, uznają w zasadzie potrzebę równomiernego rozwoju sił narodowych na wschodzie i na zachodzie, sądzą jednak, że większy nakład energii i zasobów w tę stronę zwracać należy, z której większe niebezpieczeństwo interesom naszym grozi.

Istotnie, gdyby można było dzialalność narodową w czasie i przestrzeni dowolnie regulować, siły jej i środki dowolnie uruchamiać, należałoby raczej zaniechać wszelkiej pracy w ziemiach rdzennie polskich a całą energię zwrócić na zagrożone kresy. W rzeczywistości jest to niemożliwem, gdyby zaś było możebnem, okazałoby się równie niedorzecznem i szkodliwem, jak koncentrowanie wszystkich sił na ograniczonem polu działania, na terytoryum etnograficznem polskiem.

Nie można sił narodu dowolnie wytwarzać i uruchamiać, ale można je wydobywać, budzić z uśpienia, ze stanu biernego przeprowadzać w czynny. I w działalności politycznej i w działalności kulturalnej o to właściwie chodzi, żeby energia utajona przeszła w stan czynny. Na tem jedynie polegać może uruchomienie sił narodu i w takiem znaczeniu tylko używać wolno

tego wyrażenia. Pomnożenie sił czynnych narodu można osiągnąć przez podniesienie poziomu jego zadań i celów, jego dążeń i potrzeb, powtóre zaś przez rozszerzenie zakresu jego działalności, jego życia. Ekspansya sił narodowych musi się odbywać równolegle — wzwyż i wszerz. Równocześnie podnosić musimy poziom naszych aspiracyj narodowych, naszej działalności politycznej i rozszerzać terytoryalnie jej zakres.

Jedno i drugie jest koniecznem, wzajemnie się uzupełnia. Wielkie aspiracye są niemożliwe w małym narodzie, drobne zadania i interesy nie mogą objąć wielkich mas ludności i wielkich obszarów, wydobyć sił nowych, przetworzyć ich z biernych w czynne. Rozszerzenie zadań naszej polityki narodowej na kresy przedstawia się dotychczas jednostronnie. W ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu zdobyliśmy na Ślązku pruskim i austryackim nowe pole dla naszej działalności narodowej. Ale tę zdobycz, którą zawdzięczamy raczej biernej wytrwałości ludu polskiego, niż świadomej, planowej pracy, nie wyrównywa strat, które ponosimy wskutek zaniedbania kresów wschodnich, do niedawna biorących tak czynny i tak wybitny udział w życiu narodowem.

Nawet w zaborze pruskim zadania polityki narodowej na kresach nie są należycie rozumiane. I tam są całe dzielnice zaniedbane, jak np. Prusy Wschodnie. W zaborze austryackim zapominamy o Spiżu i polskiej ludności na Węgrzech, lekkomyślnie osłabiliśmy stanowisko nasze na Bukowinie i teraz dopiero zaczynamy bronić naszego stanowiska w Galicyi Wschodniej. A w zaborze rosyjskim, nie mówiąc już o właściwych kresach, apatycznie, jeżeli nie obojętnie patrzymy, jak więcej niż połowa naszego terytoryum z 3-milionową ludnością polską pozbywa się stopniowo łączności z kulturą polską, z naszem życiem duchowem, z naszemi dążeniami politycznemi.

Zadania polityki narodowej na kresach, przedstawiających taką różnorodność warunków, tak niewspółmiernych pod każdym względem, jak np. Litwa i Spiż lub Bukowina, nie dadzą się ująć w jakąś normę ogólną. W realnej swej postaci tyle mają wspólnego, że sprowadzić się dają naogół do prostych, elementarnych form działalności narodowej, zarówno politycznej, jak kulturalnej.

Nie będziemy więc szukali nawet tej wspólnej normy, ani wyliczali szczegółowo zadań, które w każdej dzielnicy i w każdej

prowincyi kresowej polityka i praca narodowa nakreślać powinna. Chodzi nam o co innego — o wykazanie znaczenia tych prowincyj kresowych w całokształcie naszej polityki narodowej i nietylko możliwości, ale i konieczności rozszerzenia na nie sfery naszych wpływów i naszego oddziaływania.

J. L. Popławski.

ODBUDOWANIE POLSKI.

III.

Ubiegła historya zdaje się wskazywać, że granice państwowe zazwyczaj miecz wykreślał i że mapa polityczna świata tworzyła się na polach walki. Wojna kładła do grobu państwa zgrzybiałe; ona też była matką państw nowych, które częściowo lub całkowicie powstawały na gruzach poprzedników. Z tego powszechnego, ale powierzchownie pojmowanego faktu historyi wielu naszych patryotów w przeszłości a i dzisiaj także wyprowadza wniosek, że szczere dążenie do niepodległości nie da się pojąć bez planu nowego powstania narodowego, które jedynie przywrócić może straconą niepodległość. Stąd już niedaleko do uznania owej przyszłej walki zbrojnej za centralny punkt naszych nadziei i usiłowań, a przygotowań do niej za najistotniejszy punkt prawdziwie narodowego programu.

Zapatrywanie takie uważamy za błędne nietylko z tego względu, że ignoruje ono poniekąd konieczność wewnętrznego odrodzenia narodu i sprowadza wielką sprawę odbudowania państwa polskiego do mechanicznego aktu wypędzenia z ziemi naszej wrogów, ale także dlatego, że zdradza ono niedostateczne zrozumienie istotnej roli, jaką walka zbrojna odegrywała w historyi.

Uważając dzieje wzrostu terytoryalnego i upadku państw za dzieło jedynie szczęśliwych lub nieszczęśliwych wojen, przeceniamy znacznie rolę ich jako czynnika dziejowego, jednocześnie zaś nie doceniamy ich roli jako świadectwa sił duchowych, tkwiących w narodzie i objawiających się w starciu z innymi. Wojna nie jest jakąś specyalną, techniczną umiejętnością, która znawcom jej i mistrzom oddaje władzę nad światem, lecz jest aktem starcia zbiorowych sił ludzkich. Wchodzą tu w grę nietylko siły fizyczne, lecz i umysłowe, i moralne, przedewszyst-

kiem zaś wola i charakter. Jakkolwiek wydać się to może paradoksem, nie podlega jednak wątpliwości, że w ogromnej większości wojen decydował fakt złamania moralnych sił jednej ze stron, nie zaś materyalnych. Mówiąc dokładniej, wypadki prowadzenia walki aż do wyczerpania wszystkich materyalnych środków należą do niezmiernie rzadkich wyjątków — zaledwie kilka takich przykładów notuje historya — pospolicie strona zwyciężona uznaje się za taką, utraciwszy nadzieję zwycięztwa i chęć do dalszej walki. «Walka do ostatniej kropli krwi» jest retorycznym frazesem, któremu nawet w przenośni rzeczywistość prawie nigdy nie odpowiada. Oczywiście zasób sił moralnych, który wyraża się w większej lub mniejszej gotowości narodu do ponoszenia długich a ciężkich ofiar, prócz ogólnej sumy jego żywotności, pozostaje w ścisłej zależności od tego, za co ma on przelewać krew i oddawać swe mienie. W wojnach, które toczyły się w Europie w przeciągu ostatnich kilku dziesiątków lat mieliśmy przed oczyma fakt nie złamania bezwzględnego woli u strony pokonanej, lecz raczej nagięcia jej do przyjęcia warunków pokojowych zwycięzcy. Rosya poniosła niewątpliwą klęskę w wojnie krymskiej, nietylko jednak środki jej materyalne nie zostały wyczerpane, ale nawet pozostałaby zdolność moralna do dalszej walki w razie, gdyby państwa zachodnie podyktować jej zechciały zbyt ciężkie warunki, jak np. ustąpienie Krymu na rzecz Turcyi. Cięższą i więcej stanowczą klęskę poniosła Francya w ostatniej wojnie, ale i ona mogłaby walczyć dalej i, gdyby Niemcy zażądały od niej prócz Alzacyi i Lotaryngii, dajmy na to — Szampanii, zdobyłaby się ona bezwątpienia na takie wysiłki, na jakie nie stać ją było wobec utraty dwóch rzeczywiście oddanych prowincyi.

Były w dziejach przykłady, że strona już uważająca się za pokonaną, doprowadzona do ostateczności zbyt ciężkimi wymaganiami zwycięzcy, ujmowała powtórnie za oręż i odbierała wrogowi częściowo albo całkowicie tę przewagę, jaką ten zdołał już był uzyskać.

Wojna nie jest zakładem konwencyonalnym, albo grą z określonemi regułami, w której stawką jest spełnienie żądań strony wygrywającej — jest to walka, która kończy się wtedy, kiedy strona przegrywająca sama w porażkę swą uwierzy. Przed zasobami materyalnymi wyczerpują się zazwyczaj moralne; należy więc ostatnie uznać za ważniejsze od pierwszych.

Siły moralne są i pozostaną decydującym czynnikiem wszelkiej walki przy wszelkich gatunkach broni, zarówno dzisiaj, jak i przed tysiącami lat, w walce orężnej i we wszelkiej innej.

Należy pamiętać, że walka orężna nie jest nawet jedynym środkiem zmuszenia przeciwnika do uległości; wszak Napoleon próbował swoim systemem kontynentalnym zrujnować Anglię ekonomicznie i, gdyby mu się to było udało, Anglia musiałaby była ugiąć się mimo świetnych zwycięztw swych admirałów.

Powyżej określona rola czynników moralnych w wojnie obrażać może uczucia tych, którzy w starciach zbrojnych widzą jedynie objawy dzikich brutalnych instynktów, stąd też pojąć nie są zdolni, że wojna jest czemś więcej, niż «rzezią», a umiejętne jej prowadzenie czemś większem i szczytniejszem, niż mordowaniem ludzi. Tego rodzaju humaniści po swojemu nawet pojmują siłę moralną: gdy ta bowiem przedewszystkiem wyrażać się musi w objawach woli, w energii czynnej, w poświęceniu korzyści bezpośrednich dla dalszych celów, w wytrwałości wreszcie, nie brak zwłaszcza wśród nas ludzi, dla których wyraz ten oznacza jałowe poczucie swojej wyższości nad sprawami tego świata, zwłaszcza nad objawami współzawodnictwa narodowego.

Ktokolwiek zaś nie wierzy w znaczenie czynników duchowych w wojnie, uważając ją jedynie za sprawę armat i karabinów, ten dobrze zrobi, jeżeli przestudyuje paru pisarzy wojskowych. Dowie się stamtąd, że wiarę tę ustalili nie metafizycy i poeci, lecz znakomici wodzowie i praktycy wojskowi, którzy na licznych polach bitew mieli sposobność stwierdzać ją doświadczalnie. Wiadomo, jak wielkie znaczenie przypisywał czynnikowi moralnemu na wojnie Napoleon: dla uwydatnienia tego znaczenia wskazywał on na wartość bojową dwóch armij, zwycięzkiej i zwyciężonej, po bitwie; pod względem strat materyalnych różnica może być mała albo żadna, a przecież jedna jest zdolna do boju, gdy druga tę zdolność utraciła. Cała różnica spoczywa w stanie moralnym jednej i drugiej. W rozmowach z carem Aleksandrem w Tylży przyznawał Napoleon, że często trudno zrozumieć, jakim faktom konkretnym należy przypisać w bitwie zwycięztwo tej albo innej strony. Cała sztuka według Napoleona polega wtedy na tem, aby ukrywać swoją obawę i tem wpoić niejako w przeciwnika wiarę, że jest on pokonany.

Inny mistrz wojny, Fryderyk Wielki, na zapytanie, co to

znaczy armia zwyciężona, odpowiedział: «taka, która się za zwyciężoną uważa». Trudno o jaskrawsze wyrażenie zasady, że środek ciężkości walki spoczywa przedewszystkiem w stanie moralnym.

Prawda ta okazuje się jaśniej jeszcze, jeżeli zamiast oddzielnej bitwy, zależnej od przypadków i nieprzewidzianych okoliczności, rozważać będziemy losy wojny wziętej jako całość. Mówi się często, że ta lub inna bitwa zadecydowała o losach kampanii, że była rozprawą «stanowczą». W istocie była ona taką nie sama przez się, ale przez późniejsze zachowanie się strony pokonanej. Klęska bardzo ciężka nie będzie stanowczą, o ile nie złamie ducha bojowego i otuchy, stosunkowo zaś drobna potyczka stać się może decydującą, jeżeli z tych czy z innych powodów odbierze stronie pobitej chęć do walki. Tak często dziennikarze niechętni Anglii, gdy zbliżała się wojna boerska, ostrzegali ją przed «nową Majubą», że w pojęciu przeciętnej publiczności bitwa ta mogła uchodzić za jakąś wielką klęskę angielską, rozmiarów jeżeli nie Sedanu, to przynajmniej Sadowy. W rzeczywistości była to mała utarczka, w której brało udział zaledwie 1300 Anglików a z tych trochę więcej niż 200 zginęło lub odniosło rany. Porażka poniesiona wtedy przez Anglików równać się nie może z klęskami, które przynosiła im zrazu ostatnia wojna. Ale te, chociaż bez porównania większe, nie zyskają w historyi tego znaczenia, jakie miała Majuba. Tamta zawdzięcza swą doniosłość temu, że rząd Gladstona, nie doceniając ważności sprawy, a mając przed sobą perspektywę dość znacznej i kosztownej wyprawy wojennej, zrezygnował z pierwotnych zamiarów i przyznał Boerom niepodległość.

Ostatnia wojna, która wykazała znaczne braki w zarządzie ministeryum wojny, przestarzałą organizacyę armii i takąż samą taktykę bojową, wzbudziła jednak w całym świecie podziw dla siły moralnej narodu angielskiego, która podczas tej długiej kampanii różnostronnie się objawiała. «W Anglii panuje teraz duch Rzymu po bitwie pod Kannami» — pisał z uznaniem, chociaż i z niechęcią paryski *Temps* po klęskach grudniowych. Wola narodu nie ugięła się nietylko przed stratami w ludziach, które dotknęły ogromną liczbę rodzin, przed olbrzymimi wydatkami, przed powiększeniem znacznem długu państwowego, przed pośrednimi ciężarami ekonomicznymi, związanymi z długą

wojną, ale oprzeć się umiała tej potężnej presyi moralnej, która z tylu cywilizowanych krajów się podnosiła, usiłując wpłynąć na opinię angielską. Trzeba było mieć wiele hartu duchowego, świadomości praw i celów, przedewszystkiem zaś samodzielności moralnej, aby spokojnie módz wytrzymać tę nawałnicę naturalnego czy sztucznego oburzenia, tem więcej, że w tym zgiełkliwym chórze, kierowanym przeważnie przez mocarstwa nieprzyjazne Anglii, a wywołanym przez zazdrość jej wrogów i przez poziome pobudki świata humanitarno-geszefciarskiego, odzywały się także głosy szlachetne i szczere. I w tej dumnej postawie, wobec tego huraganu szyderstw, zarzutów i pretensyj, wobec tego niesłychanego nacisku moralnego okazywała się ta sama siła ducha, która spokojnie wytrzymała porażki wojenne, siła narodu głęboko przejętego swojemi zadaniami historycznemi, swoimi celami państwowymi i w swojem własnem poczuciu umiejącego znaleźć najwyższą sankcyę swego postępowania.

Podobnie jak w życiu różny skutek wywierają te same kłopoty i niepowodzenia zależnie od tego, czy trafiają na człowieka silnego charakteru, czy też na jednostkę pozbawioną hartu, tak samo porażki częściowe nie decydują same przez się o wyniku ostatecznym wojny, lecz na tle dopiero istotnej wartości bojowej tego wojska, które je poniosło. Mając to w pamięci zrozumieć można głęboką odpowiedź Moltkego, gdy go się pytano, jaka jest wartość armii niemieckiej: «Nie wiem, odrzekł, bo ani razu za mnie nie była pobita». Już sam ten fakt, że na wojnie pierwszorzędną rolę odgrywa czynnik moralny, prowadzi do wniosku, że wojna jest nie wszechstronnym wprawdzie, ale dość wielostronnym egzaminem dziejowym z różnych przymiotów, stanowiących o wewnętrznej wartości narodu.

Wulgarne zapatrywanie widzi w niej tylko próbę dość grubej odwagi osobistej, «waleczności» i pewnej zawodowej wiedzy technicznej, potrzebnej dla dowódców. Rzecz się ma inaczej. Już sam olbrzymi aparat organizacyjny, jaki porusza wojna nowoczesna, wymaga współdziałania różnych zdolności i przymiotów moralnych, bynajmniej nie specyalnie wojskowego charakteru: potrzebny tu jest porządek, akuratność, sumienność (w intendenturze), zdolność szybkiego oryentowania się, wytrwałość, energia, słowem cały szereg przymiotów, potrzebnych wogóle do szybkiego wykonywania jakiegoś dzieła zbiorowego. Właściwości tych armia

nie może nauczyć się w koszarach; czerpie je ona stamtąd, skąd ostatecznie powstaje sama, t. j. z narodu. Im więcej posiada on w swojej organizacyi państwowej i w swoich duchowych właściwościach znamion, stanowiących pożądane przymioty wojenne, tem łatwiej zdoła uposażyć w nie armię swoją: nie jest chyba jedynie frazesem często powtarzane zdanie, że prawdziwym zwycięzcą pod Sadową i Sedanem był nauczyciel niemiecki.

Nie wiedza techniczna tworzy wodzów, a nawet nie zdolności umysłowe, ale przedewszystkiem przymioty silnego, stanowczego charakteru. Powtarzają to do znudzenia różni pisarze wojskowi, którzy przedmiotem tym się zajmują. Napoleon mówił, że idealny wódz powinien być kwadratem, t. j. przedstawiać doskonałą równowagę przymiotów umysłu i charakteru. Jeden z autorów wojskowych robi uwagę, że silne charaktery podczas pokoju mało mają szans prędkiego awansu i wybicia się na wierzch i tem się tłómaczy fakt, że przewroty i rewolucye wysuwają tak wiele wybitnych zdolności wojskowych.

Jeżeli silne charaktery nie tworzą się na poczekaniu w szkołach wojskowych, ani wogóle w służbie wojskowej, to aby je mieć, armia czerpać musi z żywej skarbnicy narodu. Nic dziwnego, że cierpiąc na brak silnych charakterów, w przeciągu dwóch ostatnich stuleci nie wydaliśmy ani jednego dużej miary wodza, chociaż mieliśmy bardzo zdolnych strategików, jak generał Prądzyński, którego plany tak wysoko podnoszą wszyscy pisarze.

Naród należy uważać za prawdziwą kopalnię sił fizycznych i moralnych, armię zaś za ich organizacyę, przystosowaną do celu specyalnego, ale zapominać nie należy, że wojnę, zwłaszcza zaś wojnę nowoczesną, toczy nietylko armia, ale naród cały albo państwo. Przytoczony powyżej przykład blokady kontynentalnej świadczy, że mogą się znaleźć środki do złamania siły narodu, a więc osiągnięcia celu wojny bez pogromu jego sił zbrojnych. Ostatnie są jedynie zbrojnem ramieniem, któremu rozkazywać musi siła ducha, wola narodowa. Jak oddzielne operacye wojenne nie powinny być szeregiem efektownych turniei, ale środkami do osiągnięcia celów, zakreślonych przez strategię, tak samo cała wojna służyć musi myśli politycznej narodu, przybierającej prawie zawsze postać idei państwowej. Jak do wykonania cokolwiek więcej złożonych planów w życiu zdol-

nym jest człowiek, który «wie czego chce», tak też umiejętnie i celowo taki tylko naród potrafi walczyć, który wyrobił w sobie silne a jasne i określone dążenia, który ma potężną wolę narodową. Ten to wyższy pierwiastek unosi się nawet nad czysto wojskowemi kombinacyami generałów, nadając im cel właściwy, on to decyduje o tem, kiedy wojna jest konieczna, kiedy oręż spełnił to, co do niego należało, kiedy przychodzi czas na środki inne. On to jest ową skarbnicą sił moralnych, krzepiących armię samą, do której uciekają się podczas wojny rządy, wiedząc dobrze, że samo poczucie karności i honoru wojskowego, wystarczające dla kondotyerów, okazuje się niedostatecznym bodźcem wobec uczuć, ożywiających armie narodowe wogóle, szczególnie zaś w wielkich chwilach dziejowych. Narody, które podbiły kawał świata i umiały prowadzić zwycięzkie wojny, to wcale nie były te, których ludność odznaczała się bitnością, animuszem wojennym i t. d., ale te przedewszystkiem, które wyrobiły sobie silną ideę państwową i narodową, potężne ambicye i silną organizacyę. Same przymioty bojowe jako takie są tylko materyałem surowym, który zużytkować może naród mający te właśnie wyższe pierwiastki; jest to tak dalece prawdą, że widzimy nieraz, jak naród podbity dostarcza swoim panom najlepszych żołnierzy, a nawet wodzów (Irlandczycy).

Nasza historya wojenna obfituje w świetne czyny, mające wszelkie cechy krótkotrwałych aktów bohaterskich, ale nadzwyczaj niewiele daje przykładów silnej, konsekwentnej akcyi wojennej, dążącej do określonego celu. Naród zaś do akcyi takiej niezdolny może zadziwiać świat czynami wybuchowego i efektownego bohaterstwa, może być niezrównanem narzędziem w rękach jakiegoś Napoleona, ale sam przez się i dla siebie wojny prowadzić nie będzie umiał.

Konstanty Górski, jeden z nielicznych znawców naszej wojskowości, w studyum poświęconem bitwie grunwaldzkiej, wypowiada zdanie, że żadna nasza późniejsza akcya wojenna nie dorównywała jej co do sprawności, organizacyi, stanowczości i szybkości działania. Przyczynę tego zrozumiemy, pamiętając, jak silną była wówczas państwowość polska. Późniejsze czasy przyniosły nam szereg świetnych zwycięztw naszych rycerzy nad kilkakrotnie przeważającymi liczbą zastępami wrogów, przyniosły nam nawet szereg talentów wojskowych, ale wykazały też, że najznakomitsze czyny naszego oręża mogą pozo-

stać bezpłodnymi popisami wirtuozowstwa wojennego, jeżeli zabraknie w narodzie myśli politycznej i przedsiębiorczości. Cóż pomoże odnieść zwycięztwo, jeżeli z braku środków i posiłków trzeba przerwać dalsze działania, wypuścić z ręki nawpół pokonanego przeciwnika i czekać, aż ten z odnowionemi siłami uderzy w przyjaźniejszej dla siebie chwili? Cóż pomoże męztwo wojska i talent wojskowy wodza, gdy wśród największego powodzenia sejm ulęknie się wydatków z wojną związanych i własne wojsko zmusi do odwrotu? Szczycimy się tem, że za czasów naszej świetności wystarczało wielokrotnie garstki naszych wyborowych rycerzy, aby odeprzeć najazd liczniejszego wroga, zapominamy jednak, że te same wawrzyny, które słusznie wieńczą czoła Żółkiewskich, Chodkiewiczów i innych, rzucają poważny cień na państwo nasze. Było ono pod względem obszaru i zaludnienia jednem z największych w Europie, więc mogło rozporządzać siłami dużemi. Jeżeli do opędzania się napastnikom używało oddziałów drobnych, a z obrony swych granic robiło niejako sprawę prywatną swoich dowódców wojskowych, to wystawiało sobie ponure horoskopy na przyszłość.

W miarę rozprzęgania się państwa topniała i siła wojskowa, chociaż pewien animusz wojskowy, umiejętność jazdy na koniu i robienia bronią jeszcze długo trwały. Nasze pospolite ruszenia szlacheckie 17-go wieku biją się nienajgorzej na polu bitwy, nawet odnoszą zwycięztwa, ale do porządnej, celowej akcyi wojennej są już właściwie niezdolne. Nie chcą już one długo czekać wroga, który czasami zupełnie świadomie te właściwości ich wyzyskuje, dalej zaś gotowe są po pierwszem zwycięztwie uznać swój obowiązek za spełniony i wracać do domów. Nad niekarnością i brakiem porządnej organizacyi wśród tych tłumów szlacheckich byłoby zbytecznem się rozwodzić.

Rozprzężenie budowy państwowej osłabiło ducha rycerskiego, ale nie zdążyło go jeszcze wówczas sparaliżować i, gdy na tronie znalazł się król wojownik, odżył on na nowo i na schyłku naszego samodzielnego bytu państwowego zajaśniał blaskiem krótkim ale silnym. Zwycięztwo pod Wiedniem nowy dodało wawrzyn do naszej historyi wojennej, ale jednocześnie, nowy a przekonywający złożyło dowód, że tylko zdrową polityczną myślą ożywiony naród może odnieść korzyść z własnych zwycięztw.

Nadeszły czasy ostatecznego upadku. Zdegenerowana poli-

tycznie szlachta niezdolna jest już do utworzenia jakiejkolwiek siły zbrojnej, zatraca poczucie godności narodowej, pozwalając bez oporu plądrować kraj drobnym oddziałom Prusaków i Moskali; szlachcic pozwala, żeby mu «jeden kozak przetrząsał folwark» bezkarnie. A jednak nawet wśród tego zupełnego zaniku wszelkich moralnych właściwości, stanowiących o potędze państwa, o wartości jego siły bojowej, temperament pewien i gust do szabelki pozostał, ale objawiał się jedynie w zwyrodniałej formie burd i awantur, których barwne opisy znaleźć można w pamiętnikach z 18-go wieku.

Pierwszy rozbiór przeprowadzony został, jak wiemy, bez żadnego oporu zbrojnego, przy dwóch następnych dzięki pewnemu, rozpoczynającemu się odrodzeniu narodowemu zdobyliśmy się na opór, ale bardzo słaby. Głęboka dezorganizacya państwowa i narodowa zniweczyła wszelką naszą zdolność wojenną i rozbroiła naród, ale dobrego materyału wojskowego nawet wtedy nam nie brakło. I gdy za sprawą Napoleona nasza zatopiona nawa państwowa wypłynęła znów na powierzchnię, wojskowość okazała się tą funkcyą państwową, której odrodzenie poszło najłatwiej i wydało rezultaty najświetniejsze. Brakowało jej tylko owego najwyższego pierwiastka państwowego — silnej idei narodowej, samoistnych z jej głębi płynących aspiracyj i odwagi własnych zamiarów politycznych. Wojsko nasze dokonało rzeczy wielkich, przywróciło orężowi naszemu uznanie Europy — nie łudźmy się jednak — oprócz gorącej miłości ojczyzny, którą było ożywione, czerpało ono siłę moralną z olbrzymiej postaci Napoleona i z całej epoki bohaterskiej. Gdy zabrakło cesarza, gdy epopeja jego minęła, z wojska tego uleciał ów duch, który dokonywał wielkich rzeczy i zjednał naszym wojownikom miano «ludzi żelaznych». Pozostało ono tylko bardzo dobrem wojskiem pod względem zawodowym, pełnem poczucia obowiązku, honoru wojskowego i świetnej tradycyi.

Rok 1831 stał się najjaskrawszym wyrazem tej prawdy, że materyalne środki nie wystarczają do prowadzenia energicznej walki zbrojnej, że niezbędnym warunkiem jest określona idea polityczna, za którą stać musi silna wola narodowa. Niemożliwem jest odpowiedzieć pozytywnie na pytanie, coby się stało, gdybyśmy pokonali i wypędzili z kraju te siły zbrojne, które Rosya przeciw nam wysłała. Czy Rosya zdobyłaby się na większy wysiłek i ostatecznie nas sama pokonała, czy nie

pomogłyby jej Prusy, jak zachowałyby się państwa zachodnie — to są kwestye, co do których snuć można tylko przypuszczenia. Ale pozostaje fakt stwierdzony zupełnie pozytywnie, że pomimo męztwa, okazanego przez nasze wojska, wojnę prowadziliśmy słabo, bez stanowczości, z opuszczeniem wielu najprzyjaźniejszych okoliczności. Składanie winy na nieudolność wojskową generałów uderza sztucznością i powierzchownością: ktokolwiek zastanawiał się nad tem powstaniem, dostrzedz musi fakt naczelny, objaśniający całą sytuacyę: brak w rządzie i w narodzie jakiejkolwiek jasnej idei przewodniej, jakiegoś planu. Winić za to generałów może ten tylko, kto nie rozumie, że chodziło tutaj o pierwiastek, który wojsko wraz ze swoimi wodzami czerpać powinno z narodu. Z większą nieco słusznością możnaby złożyć winę na rząd, ale wiadomo było powszechnie, że rząd ten nie chce powstania i w powodzenie jego nie wierzy. Na czele narodu w chwili powstania i podczas niego stali ludzie, którzy byli mu przeciwni, którzy nie wiedzieli właściwie, co należy robić, a stali u władzy dlatego, że po za nimi nie było innych, którzyby jakąś siłę poważną reprezentowali i mogli zająć ich miejsce. W rezultacie walczono bez nadziei w zwycięztwo, a więc bez planów, bez szerszych celów, bez energii i stanowczości. Już przed zdobyciem Warszawy zapanowuje ogólne zniechęcenie i apatya. W rezultacie armia polska uzbrojona i zorganizowana, posiadająca w swem ręku twierdze Królestwa, składa broń albo uchodzi za granicę przed wojskami rosyjskiemi, niewiele ją liczebnie przewyższającemi.

Świadomość tego, że brakło nam w powstaniu listopadowem czegoś więcej, niż talentów strategicznych, istniała od samego jego upadku; za przyczynę klęski uważano i wielu uważa po dziś dzień brak «ducha rewolucyjnego». Do dziś dnia dosyć jest farmaceutów politycznych, łamiących sobie głowę nad tem, jak skróconą metodą owego «ducha» wlać w naród.

Dla nas historya jest polem ścierania się różnych dążeń i uczuć ludzkich. «Duch rewolucyjny», o ile jest siłą realną, da się rozłożyć na swoje składniki, na wyrosłe w życiu dziejowem dążenia ludzkie. Na tle pewnych warunków historycznych i pewnych właściwości psychiki zbiorowej, ścierając się z siłami innemi, doprowadzają one do rewolucyi, a same przybierają postać «ducha rewolucyjnego». Duch ten nietylko musi objawiać się mniej lub więcej silnie, ale okazywać takie lub

inne zabarwienie idejowe, zależnie od tych czynników, które się nań złożyły, od siły tedy i jakości ludzkich dążeń i namiętności. Nie rewolucyjność stwarza potężne objawy ducha, lecz potężne siły ducha stwarzają wszystko to, co jest wielkiego i szczytnego w rewolucyach.

W rewolucyi francuskiej po nad wszystkiemi żądzami i namiętnościami, po nad wszystkiemi walkami wewnętrznemi wzniósł się i olbrzymim snopem strzelił patryotyzm francuski. Gwałtowny kataklizm wewnętrzny wydobył na wierzch zbiorowej duszy francuskiej to, co spoczywało tam najgłębiej, i wbrew abstrakcyjnym i w znacznym stopniu kosmopolitycznym doktrynom, które uchodzą za ideologię rewolucyi, ten silny państwowy patryotyzm francuski nadał rewolucyi znamię walki z wrogami o potęgę i sławę ojczyzny. Nie o to chodziło, żeby przed nieprzyjaciółmi obronić granice Francyi — to już zrobił rok 1893, ale o to, aby przywrócić jej to dominujące stanowisko w Europie, jakie straciła w końcu 18-go wieku. Sorel w sposób wyczerpujący wykazał, że w polityce zagranicznej rewolucya, wbrew swym doktrynom, stanęła na gruncie świetnej tradycyi państwowej francuskiej, reprezentowanej dawniej przez Richelieu'go i Ludwika XIV. W najpiękniejszym przeto swym przejawie była rewolucya francuska wybuchem jedynie i potężnem wyzwoleniem tych pragnień narodowych, które oddawna pchały Francuzów ku linii Renu i hegemonii europejskiej. Duch rewolucyjny całą tę siłę zaczerpnął z potężnego poczucia narodowego.

Na historyę patrzano dawniej, jako na szereg wojen, rewolucyj, słowem głośnych przewrotów, rozsianych na szarem bezbarwnem tle codziennego życia. Sumienne studya nad wszelkiego typu przewrotami dziejowymi ukazują nam działanie w nich tych samych ciągle czynników moralnych. Silna wola, niezmordowana energia, wytężona działalność — oto siły, które po wszystkie czasy w wojnie i pokoju zwyciężały na arenie polityczno-społecznej tak, jak zwyciężają w życiu prywatnem. Bez nich wszelkie programowe nastroje «radykalne», «rewolucyjne» i tym podobne, które zresztą w historyi nowoczesnej mają już swą historyę, są tylko nieudolną parodyą, dziejową arlekinadą, która tem tylko wzbogaca historyę, że daje jej nowe widowisko psychologiczne.

Wyrobienie w narodzie naszym tych przymiotów moral-

nych, które są decydującym czynnikiem we wszelkiej działalności, oraz we wszelkiem współzawodnictwie pokojowem i wojennem, jest konieczną podstawą naszego narodowego odrodzenia. Jakiekolwiek formy walki czekają nasz naród na drodze do niepodległości, do każdej z nich niezbędnem jest przedewszystkiem wzmocnienie woli narodowej; z drugiej strony, przy spełnieniu tego warunku naród nie uchyli się od żadnej walki, jeżeli ją uzna za niezbędną. Wola narodowa kształci się, rozwija i dojrzewa, ćwicząc się w pokonywaniu wszelkich przeszkód, krępujących wzrost życia narodowego. Walka przeto codzienna i możliwie wszechstronna, w jakiej wyraża się nasz najnowszy ruch narodowy, jest konieczną a najlepszą szkołą tych przymiotów moralnych, które niezbędne są do każdej wytężonej, dłuższej działalności, tak samo do wszelkiej rozprawy orężnej, jak i do wszelkiej silnej akcyi politycznej.

Gdybyśmy byli przeświadczeni najmocniej, że odzyskamy niepodległość przez wielkie powstanie narodowe, to prawdziwie gruntownem przygotowaniem do niego musiałoby być wytworzenie jego najpotężniejszej broni — silnej woli narodowej i zdolności moralnej do ciężkiej a długiej walki. Snucie dalekich planów wojennych jest w obecnych warunkach znamieniem niemocy duchowej, niewypłacalności narodowej wobec zagadnień dzisiejszych, wreszcie wyrazem najistotniejszej rezygnacyi z narodowej przyszłości, bo walkę z wrogami z gruntu rzeczywistości przenosi ona do sfery marzeń i fikcyj. Nic tak nie pobudza energii czynu, jak silna świadomość tego, że cząsteczkę niepodległości każdego dnia zdobyć możemy i powinniśmy.

G. Topór.

PRACA POLSKA W PARANIE.

Przed trzema laty zamieściłem na tem miejscu parę listów «Z Parany», w których zdawałem sprawę ze swych spostrzeżeń, poczynionych w ciągu ośmiomiesięcznego pobytuw tym ciekawym kraju, usiłując scharakteryzować ogólnie kraj, jego stosunki oraz warunki osadnictwa polskiego i polskiej pracy cywilizacyjnej na nowych, nie tkniętych jeszcze w przeważnej części ręką ludzką obszarach. Miałem poczucie tego, że na kraj ten i na miejscowe osady polskie

trzeba patrzeć pod innym nieco kątem, niż to robiono poprzednio, że pracę polską trzeba też poprowadzić na sposób odmienny od prób ówczesnych, i poczucia tego starałem się udzielić innym, interesującym się tą sprawą; nie spodziewałem się wszakże, iż po paru latach będę mógł istotnie stwierdzić, że w życiu polskiej Parany nastał nowy okres, w którym praca nasza w tym kraju zaczęła wchodzić na nowe, pożądane tory.

Ogólny rzut oka wstecz umożliwi nam zrozumienie tej zmiany.

Dotychczasową historyę naszego osadnictwa i naszych usiłowań kulturalno-organizacyjnych w Paranie można dziś podzielić na 3 krótkie okresy:

Okres pierwszy obejmuje czas, można powiedzieć, od wojny francusko-pruskiej do r. 1890. Jest to okres stałej, ale samorzutnej, nie wywoływanej żadną agitacyą emigracyi do południowej Brazylii z niektórych części naszej ojczyzny, i kolonizacyi, o której ogół nasz nic nie wiedział pomimo że trwała ona blizko przez lat dwadzieścia.

Po wojnie r. 1870–71 w Niemczech nastąpiło przesilenie ekonomiczne, zarobki się zmniejszyły, skutkiem czego był nagły wzrost wychodztwa; nadto sama wojna tak silne zrobiła wrażenie na ludności, że rozwinęła się do niebywałych rozmiarów emigracya popisowych. W ruchu tym, który ogarnął całe Niemcy, wzięła udział i ludność polska, z tych ziem zwłaszcza, które silniej były wciągnięte w sferę życia niemieckiego, mianowicie z Prus Zachodnich i Ślązka. Wychodztwo to szło do Stanów Zjednoczonych, niewielka wszakże część prądu odszczepiła się na południe, ku najbardziej oddalonym od równika prowincyom cesarstwa brazylijskiego, gdzie od czasów rewolucyi 48 r. siedziała spora garść Niemców, osiedlonych pierwiastkowo w posiadłości księcia Joinville, w prowincyi Sta Catharina. Do nich to poszła część wychodźców niemieckich z r. 1872—73, a z nimi garść Polaków śląskich i zachodnio-pruskich. Pierwsza grupka osadników polskich (Ślązaków) znalazła się w prowincyi kataryńskiej, niebawem wszakże przewędrowała na odpowiedniejszy pod względem klimatycznym płaskowyż parański i osiedliła sią w okolicach głównego, a właściwie jedynego tam wówczas miasta — Kurytyby. Tam się też ugrupowały głównie kolonie śląskie i zachodnio-pruskie. Prócz nich powstała później jedna większa kolonia polska, zacho-

dnio-pruska, na granicy prowincyi parańskiej i kataryńskiej, mianowicie Rio Vermelho. Ci wychodźcy szli do Brazylii dlatego, że im ją Niemcy zachwalali, częściej dlatego, że nie odróżniali Brazylii od Stanów Zjednoczonych, że przypadkiem wsiedli na statek, który płynął do Ameryki południowej nie do północnej, wreszcie czasami, że ich oszukał agent okrętowy i wsadził na inny, niż chcieli, statek. Po tych pierwszych przybyszach napływ osadników ustał — czasem tylko który kolonista sprowadził sobie kogoś ze swoich przy pomocy listu do kraju.

Lata 1881—83 były latami najwyższego napięcia ruchu wychodźczego w całej Europie, zwłaszcza zaś w Niemczech. Dały one też najwyższe cyfry wychodztwa w ziemiach polskich zaboru pruskiego, jednocześnie budząc pierwszy silniejszy ruch wychodźczy w Galicyi. Cała prawie fala poszła do Stanów Zjednoczonych, gdzie się otworzyło było pole świetnych zarobków, ale część emigracyi galicyjskiej [1]) odszczepiła się, znów przypadkowo raczej, i poszła do Brazylii. Rząd cesarstwa dał im ziemię w sąsiedztwie dawnych osad w pobliżu Kurytyby i tym sposobem zaczątek polski na płaskowyżu parańskim poważnie się wzmocnił. Do r. 1890 panowała cisza, nowi wychodźcy nie napływali, a w Polsce nikt nawet nie przypuszczał, że gdzieś w południowej Brazylii, w skromnych granicach ale zdrowo, rozwija się kawałek życia polskiego. R. 1890 przyniósł przewrót w życiu Parany i obudził w Polsce zainteresowanie dla tego kraju.

Okres drugi, trwający od r. 1890 do 1900, jest okresem brazylijskich gorączek emigracyjnych u nas, okresem głośnego opiekowania się w Polsce emigrantami brazylijskimi, wreszcie okresem wędrówek delegatów polskich do Brazylii. Okres ten nastąpił bezpośrednio po wielkim przewrocie w samej Brazylii, po zniesieniu niewolnictwa przez cesarstwo, po wywołanej tym aktem detronizacyi dom Pedra II i proklamowaniu republiki «Stanów Zjednoczonych Brazylii».

Zniesienie niewolnictwa sprowadziło odrazu brak rąk do pracy, zastój w produkcyi kawy, głównego bogactwa Brazylii i ruinę plantatorów. Rząd tedy Rzeczypospolitej postanowił

---

[1]) Wychodźcy z powiatów: jasielskiego, bocheńskiego, tarnowskiego i sąsiednich.

sprowadzić siły robocze z Europy i zwrócił się o to do niemieckich kompanij okrętowych, te zaś uznały Polskę za najlepszą kopalnię ludzi. Stąd zaczęła się w Królestwie Polskiem przy pomocy wędrownych agentów i miejscowych żydów wytężona agitacya; miała ona za skutek niebywałą, przez dwa lata trwającą (od 1890 do 1892) gorączkę emigracyjną, która wyprowadziła z kraju przeszło 40.000 ludzi. Emigrantów próbowano osiedlać na plantacyach kawy, głównie w stanach (dawniejszych prowincyach) Sao Paulo i Espiritu Santo, ale nie mogli oni wytrzymać tamtejszych warunków klimatycznych i nie nadawali się do roboty około kawy. Wobec tego trzeba było ich przewozić na południe, gdzie rządy stanowe Parany, Sta Cathariny i Rio Grande do Sul prowadziły kolonizacyę rolną w lasach pierwotnych. Jest to najważniejszy i zarazem najtragiczniejszy moment w dziejach naszego osadnictwa w Brazylii. Tysiące wychodźców i ich dzieci zginęły od żółtej febry w Rio de Janeiro i Santos, pomarły na różne choroby na plantacyach oraz w Paranie i innych stanach, przebywając długo w domach emigracyjnych, gdzie wskutek złego żywienia i niezdrowego pomieszczenia grasowały wśród nich tyfusy, ospy i t. d. Część tej masy wychodźców wróciła do Polski, część popłynęła do Argentyny lub Ameryki północnej, połowa zaś mniej więcej osiadła na koloniach rolnych w umiarkowanym klimacie Parany, Sta Cathariny, Rio Grande de Sul, w części Sao Paulo lub rozsypała się po miastach portowych.

Ta właśnie gorączka wychodźcza obudziła w kraju zainteresowanie Brazylią. Rolnicy, zatrwożeni stratą robotnika, chcieli się dowiedzieć czegoś o Brazylii, żeby znaleźć argumenty przeciw agitacyi emigracyjnej, wydawcy pism chcieli zaspokoić uzasadnioną ciekawość czytającej publiczności. Zaczęto więc wysyłać ludzi w celu badania stosunków brazylijskich. Ale przy naszym, mocno zaściankowym typie życia, w zredukowanej sferze interesów trudno o ludzi, którzyby posiadali właściwą miarę do mierzenia tak odległych stosunków. To też wyprawa wydelegowanych przez obywatelstwo ks. Chełmickiego i p. Glinki była zupełnie chybiona, podróż zaś Dygasińskiego miała znaczenie wędrówki utalentowanego literata, który przywiózł wiele interesujących wrażeń. Najcenniejsze z owego czasu spostrzeżenia zostawili pp. Antoni Hempel i Witołd Łaźniewski, dwaj rolnicy, którzy nie wysyłani przez ni-

kogo wzięli udział w wyprawie przyrodnika, dra J. Siemiradzkiego.

Zainteresowanie się wychodztwem a w szczególności Brazylią znalazło najsilniejszy wyraz w lwowskim *Przeglądzie emigracyjnym*, założonym w r. 1893 przez pp. St. Kłobukowskiego i Wiktora Ungara, którzy też utworzyli «Polskie Towarzystwo handlowo-geograficzne». Od tego czasu rozwija się stała działalność, mająca na celu zainteresowanie ogółu naszego losem osad parańskich, zorganizowanie pracy kulturalnej w tych osadach, wreszcie nawiązanie stosunków między niemi a Europą. Silnym bdźcem w tym kierunku była brazylijska gorączka emigracyjna w Galicyi wschodniej, wywołana przez akcyę kolonizacyjną parańskiego rządu stanowego, której współdziałały genueńskie agencye okrętowe. Z ramienia Towarzystwa handlowo-geograficznego długą podróż po Brazylii i Argentynie (w latach 1895—97) odbył dr. St. Kłobukowski, a opis tej podróży zawiera niemało cennych informacyj dotyczących osad polskich obok bezwartościowych lub wprost fałszywych szczegółów, łatwowiernie notowanych z opowiadań pierwszego lepszego włóczęgi. Wkrótce po nim (w r. 1896) wyjechał do Parany po raz wtóry prof. J. Siemiradzki, tym razem jako delegat galicyjskiego Wydziału Krajowego. Z zebranych przez ostatniego danych wiele można się dowiedzieć o warunkach przyrodzonych i położeniu ekonomicznem osadnictwa południowo-brazylijskiego.

Ze Lwowa też, z łona Tow. handlowo-geograficznego rozpoczęto akcyę, mającą na celu utworzenie polskiego towarzystwa kolonizacyjnego na Paranę, instytucyi, mogącej odegrać doniosłą rolę, gdyby była właściwie postawiona. Niestety, akcya ta skończyła się rozwiązaniem zaczątków towarzystwa. Odbiła się ona w Paranie w ten sposób, że zjawił się tam w początku r. 1900 delegat towarzystwa, który zakontraktował nawet ziemię u rządu parańskiego, a jednocześnie wobec obudzonego zainteresowania ogółu jedno z pism warszawskich wysłało do Parany powieściopisarza, p. Artura Gruszeckiego, który ogłosił w następstwie garść impresyj literackich.

W tym krótkim, dziesięcioletnim okresie jeżeli czego nie brakowało Paranie, to delegatów z Europy (nie wymieniłem jeszcze paru mniej lub więcej nieudatnych delegatów Tow. handlowo-geograficznego). Natomiast akcya na rzecz wzmocnie-

nia i podniesienia żywiołu polskiego w Paranie sprowadza się do prób, robionych bez należytego planu, przy pomocy najnieodpowiedniejszych ludzi. *Przegl. emigracyjny*, przemianowany po paru ewolucyach na *Gazetę handlowo-geograficzną*, wiele zrobił dla zainteresowania Paraną naszego ogółu i dla rozpowszechnienia wiadomości o niej, ale w swych usiłowaniach agitacyjnych pismo to przesadzało, podnosiło drobiazgi do znaczenia faktów doniosłych. Stąd wytwarzały się złudzenia. Rozmaici ludzie wykolejeni, szukający szczęścia bez pracy, zaczęli wyjeżdżać do Parany, by znalazłszy się na miejscu, przyczyniać się tylko do dezorganizacyi życia tamtejszych Polaków. Jedni próbowali żyć z napychania gilz (tutek) tytoniem, inni szli na rezydentów nietylko do Polaków, ale i do obcych, inni wysługiwali się brazylijskim geszefciarzom politycznym, intrygując po koloniach, inni wreszcie reprezentowali socyalizm polski w puszczach i stepach parańskich. Tymczasem rzetelnie, pomimo najlepszych usiłowań ludzi siedzących we Lwowie, nic w Paranie nie zrobiono. Nie powstało ani jedno silne i czynne stowarzyszenie, ani jedna dobra szkoła, ani jedno szersze a trwałe przedsiębiorstwo polskie. Z upadkiem akcyi w kierunku stworzenia towarzystwa kolonizacyjnego upadło zainteresowanie ogółu, w końcu i Towarzystwo handlowo-geograficzne we Lwowie przestało istnieć, i *Gazeta handlowo-geograficzna*, długo podtrzymywana przez ofiarnego wydawcę, dra W. Ungara, została zamknięta.

Od czasu ostatniej masowej emigracyi z Gaicyi (r. 1895 do 1896), która pociągnęła prawie wyłącznie Rusinów, ruch wychodźczy do Parany też ustał. Od czasu do czasu jadą tam jednostki lub rodziny wieśniacze, wezwane przez kogoś z krewnych, któremu się dobrze dzieje, ale o stałym ruchu wychodźczym od lat siedmiu niema mowy. Pomimo wszakże tej ciszy w sprawie rozwinięcia w Paranie polskiej pracy cywilizacyjnej zrobiono w ostatnim czasie może więcej, niż przez wszystkie lata ubiegłe.

Okres trzeci, którego początek oznaczam na r. 1900 — to okres, w którym sprawa kolonizacyi parańskiej traci na rozgłosie, ale zato na miejscu zaczyna się pozytywna, cicha praca kulturalna.

Płynąc w październiku r. 1899 z Southamptonu do Rio de Janeiro, znalazłem się, potrosze przypadkiem, w towarzy-

stwie dwóch rodaków, udających się tak jak ja do Parany w celu rozejrzenia się, czy można na tamtejszym gruncie rozwinąć jakąś płodną pracę polską. Obaj byli w swoim rodzaju ludźmi po nad zwykłą miarę. Jeden duchowny, człowiek wszechstronnie wykształcony, ze szczególnemi upodobaniami w kierunku nauk przyrodniczych, z zapałem zagłębiający się w zagadnienia wychowawcze, jechał do Parany w celu przekonania się, czy znajdzie tam warunki wolnej pracy nad młodemi pokoleniami, pracy, w której mu władze rosyjskie stawiały w kraju przeszkody, czy wtedy, gdy był katechetą jednego z gimnazyów warszawskich, czy gdy, będąc proboszczem w mieście powiatowem, zakładał ochronki dla ubogich dzieci. Drugi, dzielny kupiec warszawski, znany szerszym kołom ze sprężystego prowadzenia interesów i z chętnego udziału w pracach obywatelskich, chciał także za Oceanem znaleźć szersze pole dla swej energii w jednym i drugim kierunku. Byli to ludzie obecnie już znani ze swej działalności w Paranie, ks. Cezary Wyszyński i p. Leon Bielecki.

Młode, tworzące się dopiero osady nie często dostają tego rodzaju ludzi. Nie mają one czem wynagradzać działaczy w szerszej pracy społecznej, tam więc oddawać jej się mogą tylko ludzie z głębszymi motywami moralnymi. Takimi właśnie ludźmi byli wspomniani moi towarzysze podróży przez Atlantyk.

Ks. Wyszyński odesłał kompanii okrętowej swój bilet powrotny i odrazu został w Paranie. Objął on po pewnym czasie kierownictwo parafii na ogromnej i ślicznie położonej kolonii, Lucenie, w zamiarze zrobienia jej ogniskiem swej pracy. Wkrótce jednak przekonał się, że grunt to dla niego nie najlepszy. Mieszkańcy Luceny są wychodźcami z Królestwa, a faktem jest, że osady złożone z ostatnich, najłatwiej stają się polem popisu dla rozmaitych interesowanych i bezinteresownych intrygantów i najczęściej bywają teatrem zajść burzliwych. Po roku z górą ksiądz się przeniósł na starą kolonię, Rio Vermelho, zaludnioną przez wychodźców z Prus Zachodnich, którzy, pozbawieni oddawna księdza Polaka, przyjęli go z otwartemi rękami. W mieszkańcach tej kolonii, położonej na granicy stanów Parana i Sta Catharina i sąsiadującej z ogromnym obszarem, wyłącznie przez Niemców zaludnionym, ks. Wyszyński znalazł dzielny żywioł polski, zdolny do pracy zbiorowej a tylko

potrzebujący przewodnictwa. Tu więc rozbił ostatecznie swe namioty i tu postanowił założyć swój zakład wychowawczy, o którym od początku marzył. W roku zeszłym przybył do Europy, w nadziei zdobycia trochy środków na to dzieło oraz w celu zabrania sił nauczycielskich. Nie zrażony tem, że ogół nasz nie okazał się wcale w tym kierunku ofiarnym, postanowił rozpocząć pracę na swój koszt i powiózł do Parany cztery siostry zakonne, z jednego z cichych zakonów, oddających się działalności wychowawczej. Wszystkie cztery były wykwalifikowanemi nauczycielkami. Rezultatem tych zabiegów jest już dziś ogromny na tamtejsze stosunki zakład wychowawczy, w którym sto kilkadziesiąt dzieci pobiera naukę. Są tu właściwie połączone dwie rzeczy. Popierwsze, szkoła początkowa, w której dzieci obojga płci pobierają pierwszą naukę. Ze względu na rozrzucenie osad i odległość jednego domostwa od drugiego przychodzić do szkoły mogą tylko dzieci z najbliższej okolicy. W szkole ks. Wyszyńskiego po raz pierwszy zaradzono temu, urządzając konwikt dla dzieci dalej mieszkających. Umożliwia to szkole obsługiwanie okolicy w ogromnym promieniu, a z drugiej strony pozwala dzieci nietylko uczyć, ale i wychowywać. Szkoła ta tak prędko zyskała popularność, iż pomimo jej polskości jest w niej nawet trochę dzieci niemieckich i miejscowych — brazylijskich. Powtóre, siostry prowadzące zakład, przyjmują na naukę starsze dziewczęta, które w odpowiednim konwikcie kształcą się na kobiety inteligentne, dobrze wychowane, umiejące prowadzić dom na stopę cywilizowaną. Jest to dzieło ogromnie ważne, bo mało co tak przykro daje się czuć w Paranie i tak źle się odbija na tamtejszem życiu, jak brak inteligentnej kobiety polskiej. Niemcy, mający silny wpływ w kurytybskiej kancelaryi biskupiej i prowadzący tam bardzo wyraźną politykę, próbowali podkopać to piękne dzieło zacnego i niepospolitego człowieka, przygotowując mu trudności formalistyczne w sprawie założenia domu zakonnego. Doprowadziło to nawet do pewnego starcia księdza z biskupem, energiczna wszakże postawa pierwszego dała sprawie pomyślny obrót i dziś już wszelkie trudności są usunięte.

Tak się przedstawia krótka, ale już szeroka i dla przyszłości nadzwyczaj doniosła działalność ks. Wyszyńskiego.

P. Bielecki ze swej wycieczki wrócił do Polski, gdzie badał grunt do organizacyi szerszego przedsiębiorstwa handlo-

wego na Paranę [1]). Widząc, że czas jest nie po temu, zlikwidował swoje interesy i zebrawszy pewien, niewielki zresztą kapitał, wyjechał z rodziną do Parany z zamiarem założenia tam własnego przedsiębiorstwa. Przybywszy wszakże na miejsce, przekonał się, że trzeba przedewszystkiem pomyśleć o sprawie publicznej. Najważniejszy mianowicie czynnik polskiego życia kulturalnego, miejscowa *Gazeta polska w Brazylii*, znajdowała się w bardzo niewłaściwych rękach i zaczęła prowadzić robotę szkodliwą. Pismo to, założone przez miejscowego kupca i księgarza, emigranta z Poznania, w końcu przeszło w ręce człowieka nieoświeconego, który je redagował i składał. Ten «redaktor» uciekał się do pomocy inteligentniejszych od siebie, którzy nie byli widocznie uczciwszymi. Tak czy owak do pisma zaczęły się przedostawać wpływy niemieckie, które i dawniej zjawiały się w niem od czasu do czasu. Dla Niemców, ze względu na ich zamiary zaborcze w południowej Brazylii, skupienie Polaków w Paranie, szczególnie zaś w najbliższej okolicy Kurytyby jest bardzo niedogodne. To też *Gazeta polska* od czasu do czasu agitowała wśród naszych kolonistów, żeby się z okolic Kurytyby przenosili głębiej w lasy, w końcu zaś zaczęła namawiać do zupełnego wynoszenia się z Parany. Skutkiem tego zaczęły zdarzać się wypadki, że osadnicy za byle co wyprzedawali swoje gospodarstwa i wynosili się do innych stanów. P. Bielecki, widząc, jak sprawy stoją, zaczął od tego, że gazetę kupił i sam ją poprowadził. Trzeba przyznać, iż pod jego redakcyą pismo stanęło zupełnie na wysokości miejscowych potrzeb żywiołu polskiego, stając się organem jego interesów kulturalnych i gospodarczych. Pod względem zajęcia się najbliższymi interesami osadnika polskiego stanęło ono w swoim skromnym zakresie o wiele wyżej od pism północno-amerykańskich. Dla człowieka wszakże, pragnącego przedewszystkiem oddać się działalności handlowej, unieruchamianie grosza w gazecie, nie będącej w tamtejszych warunkach wcale interesem handlowym, oraz zużywanie swego czasu na pracę redakcyjną, do której właściciel *Gazety* napróżno usiłuje sobie sprowadzić z Europy pomocnika, nie było wcale korzystne. Skrępowało go to w działalności kupieckiej, inne interesy na-

---

[1]) Ogłosił on w warszawskiej *Gazecie polskiej* szereg listów, pełnych trafnych spostrzeżeń, zwłaszcza w zakresie stosunków ekonomicznych.

wet zaczęły na tem poważnie tracić i dopiero w ostatnich czasach redaktor *Gazety* może powiedzieć, że i jako kupiec, jako właściciel paru sklepów w kraju, stanął na pewnych nogach.

Zwróciłem uwagę na działalność tych dwóch ludzi nie dlatego, żeby obok nich nie było w Paranie innych, mniej lub więcej inteligentnych, którzy także coś robią i wpływają na miejscowe życie; ale dlatego, że w krótkim czasie, nie robiąc hałasu, dali się oni silnie czuć w życiu naszej młodej społeczności parańskiej, że wprowadzili w tamtejszą pracę polską nowy ton, dźwięczący energią i wyrażający aspiracye szersze, niż chęć zrobienia osobistego interesu, która za Oceanem wszechwładnie króluje, że wreszcie nie zaczęli budować od góry, z obliczeniem na efekt, ale zaczęli tworzyć zdrowe podstawy kulturalne i ekonomiczne, na których młode, formujące się społeczeństwo musi się przedewszystkiem oprzeć. Ich rola polegać będzie nietylko na tem, co sami stworzą, ale na tem także, iż niewątpliwie znajdą się w przyszłości inni, którzy pójdą ich śladami.

O tem, że w rozwoju sprawy parańskiej nastał nowy okres, świadczą najnowsze fakty, które w chwili obecnej można zanotować.

Długie starania o zorganizowanie lepszej opieki duchownej nad osadami parańskiemi obecnie zostały uwieńczone skutkiem, który niewątpliwie wprowadzi tę sprawę na dobrą drogę. Do Parany udało się z Krakowa trzech OO. Misyonarzy, którzy już przybyli na miejsce i, jak nam donoszą, zakładają polski dom kongregacyjny na wielkiej kolonii Thomas Coelho, położonej w pobliżu Kurytyby, należącej do osad dawniejszych i zaludnionej w połowie przez wychodźców ze Ślązka pruskiego, w połowie zaś z Galicyi zachodniej. Fakt ten przedewszystkiem podniesie powagę duchowieństwa polskiego wobec władzy biskupiej, zbyt uległej Niemcom, następnie zaś będzie początkiem wprowadzenia ładu w tamtejsze stosunki kościelne, które wiele pozostawiają do życzenia. Niewątpliwie też OO. Misyonarze rozwiną szerszą działalność na polu oświaty.

Mamy wszelkie dane do oczekiwania w najbliższym czasie szerszej organizacyi pracy polskiej na gruncie parańskim. W ostatnich czasach poświęcił się działalności na tem polu człowiek niepospolitej energii i szerszych zdolności, właściciel majątku ziemskiego. Zwiedziwszy Paranę i zapoznawszy się z jej wa-

38*

runkami gospodarczymi, opracował on plan zbiorowego przedsięwzięcia handlowego z większym kapitałem, nie widząc wszakże tymczasowo możności urzeczywistnienia tego planu w dość szerokiej skali, udał się do Parany obecnie, by własnemi siłami i własnym kapitałem zacząć pracę, która w przyszłości może posłuży za punkt wyjścia do szerszego przedsięwzięcia zbiorowego i położy podwaliny pod poważną organizacyę żywiołu polskiego.

Jak widzimy tedy, położenie rzeczy w Paranie gruntownie się zmienia. Sprawa osadnictwa naszego w tym kraju straciła na rozgłosie, ale zato praca polska na gruncie weszła na nowe tory, na których obiecywać jej można dużą przyszłość. Gdy dawniej z pośród żywiołów mniej więcej inteligentnych nawiedzały Paranę jednostki wykolejone, spodziewające się znaleźć tam łatwy żywot, którego nie mogły znaleźć w kraju, gdy skutkiem tego ci niepowołani opiekunowie naszych osadników tylko wprowadzali rozkład w ich życie i kompromitowali nasze społeczeństwo w oczach obcych, dziś kraj ten zdobył paru ludzi, którzy i w europejskiej ojczyźnie coś znaczyli, i tu pewną rolę odegrywali, którzy nie dlatego znaleźli się za Oceanem, że w Polsce dla nich miejsca nie było, ale dlatego, że energia ich widziala w nowo tworzącej się społeczności najlepsze dla siebie ujście, że pracę na tym nowym gruncie uznali za dość ważną, by jej życie poświęcić.

W społeczeństwie naszem jest sporo ludzi, których zajmują losy naszego osadnictwa południowo brazylijskiego i postępy pracy naszej na tem polu. Sądzę, że ma dla nich duże znaczenie ten fakt, iż praca ta przedstawiana jest obecnie przez ludzi poważnych, o których można oprzeć się we wszystkiem, cobyśmy chcieli dla tej sprawy zrobić. A robić wiele trzeba, bo ta młoda społeczność jest dziś jeszcze bardzo słaba pod względem liczebnym, ekonomicznym i kulturalnym i należy jej się pomoc od społeczeństwa naszego z ojczystego kraju. Rząd berliński subwencyonuje tam jawnie szkoły niemieckie, co zaś subwencyonuje tajnie, o tem trudno mówić, choć działalność jego w tym kierunku czuć na każdym kroku.

Wogóle wpływy niemieckie w Paranie rosną silnie, popierane bezpośrednio z Berlina i na miejscu przez przedstawicielstwo dyplomatyczne i konsularne cesarstwa. Ze smutkiem i oburzeniem stwierdzić należy, że austryacka służba dyplo-

matyczna i konsularna w Brazylii nie posiada żadnej samodzielności, ale jest niemal organem pomocniczym dyplomacyi niemieckiej. Z takim trudem osiągnięte założenie konsulatu austryackiego w Kurytybie nie może przynieść owoców, jakich się po niem spodziewano, a to dlatego, że konsulat ten stał się w ostatnich czasach czemś w rodzaju miejscowej filii konsulatu niemieckiego. Zaznaczyło się to zwłaszcza od chwili, kiedy kierownictwo jego powierzono p. Jurystowskiemu, a więc człowiekowi noszącemu poniekąd polskie nazwisko. Umie on nawet do wychodźców polskich przemawiać po niemiecku.

Wychodztwa niemieckiego z Europy do Parany niema [1]); pomimo to liczba Niemców zwiększa się powoli. Przybywają oni z Sta Cathariny i osiedlają się jako kupcy, rzemieślnicy, wreszcie piwowarzy (po koloniach pełno jest małych browarów), zwłaszcza w dolinie Iguassu, głównem siedlisku Polaków. Po przeprowadzeniu kolei z Joinville w głąb kraju, cały handel tych okolic niewątpliwie skieruje się do Oceanu przez Sta Catharinę, najsilniej opanowaną przez Niemców.

Wogóle na przyszłe panowanie Niemców w tym kraju należałoby patrzeć jako na pewne, gdyby nie polityka Stanów Zjednoczonych Am. Pn., które zamierzają nikogo do Ameryki nie wpuścić. Mieliśmy dowód tego przed trzema laty, kiedy Stany założyły energiczny i skuteczny protest przeciw nabyciu przez Niemcy duńskich Antylów, jak również później — w sprawie wenezuelskiej. Apetyt niemiecki na południową Brazylię rośnie, ale dziś można być pewnym, że do zaboru przyszłoby tylko po zwycięzkiej wojnie z Unią.

Wobec tego można mieć nadzieję, że praca polska będzie mogła się rozwijać na gruncie parańskim bez przeszkody, korzystając z warunków, jakie przedstawia dla niej ustrój rzeczypospolitej brazylijskiej.

Nie powinniśmy zapominać, że południowa Brazylia, a w szczególności Parana jest jedynym krajem w którym możemy rozwinąć działalność osadniczą. Bo jeżeli osady nasze tam są nieliczne, ubogie i nizko stoją pod względem kulturalnym, jeżeli w porównaniu z niemi polskie kolonie w Stanach Zjednoczonych przedstawiają się świetnie, jeżeli nawet w Ka-

[1]) Ostatnie sprawozdanie urzędowe o emigracyi, złożone parlamentowi berlińskiemu, wykazuje, że do Parany udał się w r. z. jeden człowiek.

nadzie warunki gospodarcze osadnictwa są pod pewnymi względami lepsze, to Parana jest jedynym krajem, gdzie możemy pracować samodzielnie i wykazać jakąś twórczość społeczną.

W Ameryce północnej formy życia społecznego są i będą dziełem wysoko-cywilizowanej i znakomicie organizującej się rasy brytańskiej, dla przybyszów zaś polskich jest tam jedynie miejsce podrzędnych kółek w obcej machinie społecznej, która ich stopniowo wciąga, przyswaja i w pierwszem pokoleniu wynaradawia. O tem, żeby Polacy mogli tam stworzyć sobie odrębne życie, w swych własnych formach, marzyć mogą tylko ludzie nietrzeźwi, nie rozumiejący istoty współczesnego życia. Chociaż więc Polacy dobrze się mają tam pod względem ekonomicznym, choć posiadają zamożne i pomyślnie rozwijające się instytucye, choć niejeden z nich zajmuje wybitne miejsce w publicznem życiu kraju, choć wreszcie pracują oni nad utrzymaniem wśród siebie życia polskiego i zacieśnieniem węzłów, łączących je z krajem ojczystym — nikt nie może oczekiwać, ażeby życie polskie potrwało tam długo, gdy przestanie być zasilane nowym ciągle dopływem wychodźców z Europy, i nikt nie może żywić ambicyj, ażeby Polacy mogli tam wysunąć się na przodujące miejsce jako czynnik cywilizacyjny. Praca ich, jakkolwiek korzystna dla jednostek a do czasu mogąca mieć nawet duże znaczenie dla naszego kraju (przez ofiarność Polaków amerykańskich na cele narodowe, przez udział ich w polskiem życiu kulturalnem, wreszcie przez znaczne zarobki wychodźców czasowych, wracających z pieniędzmi do kraju), będzie się zawsze odbywała pod przewodnictwem wyższego cywilizacyjnie żywiołu anglo-saskiego i do samoistnych form życia nie doprowadzi. W Paranie natomiast, dzięki ubogiej ekonomicznie i cywilizacyjnie stopie tamtejszego życia, dzięki brakowi w niem wyższej organizacyi, dzięki temu wreszcie, że tam życie społeczne dopiero się na dziewiczym gruncie tworzy — mamy możność robić coś na własną rękę, według swego planu, zgodnie z potrzebami ducha polskiego. Dziś Polacy ze względu na swą liczebność i sposób życia są tam główną siłą produkcyjną kraju. Oni głównie wydobywają swą pracą chleb z tamtejszej ziemi i słusznie są uważani, nawet przez Brazylian, za żywicieli reszty ludności. Przy należytym wysiłku oni też mogą wytworzyć zdrowe instytucye pracy kulturalnej i publicznego życia, a przez to stać się pierwszą siłą

cywilizacyjną kraju. A wolna twórczość społeczna — to najpiękniejsze przecie, najponętniejsze pole działania dla ducha ludzkiego.

Nie idzie tu o to, żeby snuć odległe plany i kołysać się świetnemi marzeniami; nie jest potrzebne przepowiadanie dziś, jakie owoce ta praca wyda w przyszłości. Jest faktem, że mamy tam pole pracy samoistnej, pracy twórczej, że możemy w tej pracy wypróbować, wyćwiczyć i nazewnątrz wykazać wartość ducha polskiego. Z tego powinniśmy jak najskwapliwiej skorzystać, pamiętając, że choćby przyszłość miała tę pracę zniszczyć, to pozostanie nam zawsze pewny nabytek w siłach moralnych i umysłowych, jakie w nas ta działalność wykształci. Dla ducha polskiego, tak dziś skrępowanego we wszystkich swoich przejawach otwarcie sobie takiego nowego pola byłoby zdobyczą ogromnej wartości, tem większej, im żywsze będzie i realniejsze zainteresowanie społeczeństwa całą sprawą.

Z drugiej strony, nie należy zapominać o korzyściach bardziej dotykalnych, jakie nam praca polska w Paranie musi przynieść. Są tam olbrzymie obszary dziewicze, nadające się do osadnictwa polskiego. Parokrotne gorzkie doświadczenie powinno nas nauczyć myślenia o przyszłości. Ziemie polskie, zwłaszcza zaś Galicya i Królestwo, nie mogą wyżywić normalnego przyrostu swej ludności, zwłaszcza przy wzroście potrzeb kulturalnych naszego ludu. Dziś ratuje nas wychodztwo zarobkowe, powrotne do Niemiec i Ameryki północnej — i zdaje nam się, że tak zawsze będzie, jakbyśmy nie wiedzieli o chwiejności stosunków ekonomicznych i nie słyszeli nigdy o przemysłowych kryzysach.

Otóż, kiedy przyjdzie chwila, że zarobki dla naszej ludności za granicą ustaną lub przynajmniej się zmniejszą, kiedy skutkiem tego zacznie się w kraju gromadzić materyał na nową, może o wiele gorszą od dotychczasowych gorączkę emigracyjną, dobrze będzie mieć w kraju tak odpowiednim dla naszego osadnictwa, jak Parana, należytą organizacyę ekonomiczną, zdolną we właściwej mierze dostarczyć ziemi przybyszom z Polski. Chwila, kiedy to będzie potrzebne, może jest bliższą, niż myślimy.

R. Dmowski.

ROZRUCHY ROBOTNICZE W ROSYI.

W chwili obecnej południowa Rosya, a właściwie jej większe centry fabryczne, są widownią silnych ruchów robotniczych, w których obok ekonomicznego gra wyraźnie rolę pierwiastek polityczny. Trudno wytworzyć sobie o tych zjawiskach społecznych dokładne wyobrażenie, określić należycie rozmiary ich i charakter, bo rząd rosyjski wszystkich sił dokłada, aby ukryć istotny stan rzeczy i nie pozwolić opinii europejskiej spojrzeć za kulisy rzekomo niezachwianej swej potęgi.

Zapewne w wychodzących za granicą organach opozycyjnej prasy rosyjskiej znajdziemy niezadługo opis dokładny lipcowych i sierpniowych rozruchów w Kijowie, Odesie, Baku, Nikołajewie i w innych jeszcze miastach wraz, z wielu szczegółami, dotyczącymi zachowania się organów rządowych, ale już te fakty, które dostały się do naszej prasy zakordonowej w drodze specyalnych korespondencyj, rzucają na sytuacyę wiele światła i mogą posłużyć niejako za dowód, że już dziś ruch robotniczy rosyjski staje się pierwszorzędnym czynnikiem opozycyi w państwie i potężnym taranem, bijącym skutecznie w mury dzisiejszego ustroju politycznego Rosyi.

Najdokładniejsze relacye posiada prasa zakordonowa, przedewszystkiem zaś *Słowo polskie*, o rozruchach kijowskich, których przebieg przedstawia się w sposób następujący:

Wskutek kryzysu przemysłowego, panującego obecnie w całej Rosyi, nastąpiła zniżka pracy akordowej w jednej z fabryk miejscowych, a w jej następstwie pewne wrzenie, które niebawem przybrało formę zmowy w trzech największych fabrykach, zatrudniających razem około 4 tysięcy robotników. Były to warsztaty kolei Południowo-zachodniej, fabryka Gretera i zakłady Towarzystwa Południowo-rosyjskiego. Z początku bezrobocie nie wyrażało się w ostrej formie, dopiero d. 5 b. m. w środę wybuchły zaburzenia i rzeź uliczna.

Od samego rana tłumy robotników zaległy plant kolejowy, aby zatrzymać pociągi z Kijowa i uniemożliwić komunikacyę. Pociąg, śpieszący z Kijowa do Moskwy, musiał stanąć, a gdy maszynista zagroził, że po trzykrotnem gwizdaniu ruszy naprzód, robotnicy wdarli się na lokomotywę i zrzucili go stam-

tąd. W tej chwili ukazało się wojsko, które od dość dawna władze trzymały w pogotowiu. Nastąpiła utarczka; kilka kamieni ugodziło w dowodzącego oddziałem pułkownika i w oficerów. Po trzykrotnem wezwaniu do rozejścia się i pierwszych wystrzałach w powietrze, tłum zaczął się rozpraszać, pozostało zaledwie paręset osób. Komenda wojskowa wszakże nie czekała: wojsko rozpoczęło ogień, nie oszczędzając nawet uciekających. Gdy padły pierwsze trupy, uciekający pochwycili je i chcieli je zanieść przed mieszkanie gubernatora, niebawem jednak po zaciętej bójce rażeni kulami i szablami kozaków rozproszyli się, pozostawiając owe trupy w rękach kozaków. Strzelano bez pardonu do tłumu wtedy nawet, kiedy nie mógł on się ratować szybką ucieczką, będąc przypartym do parkanu kolejowego, w którym jest tylko jedna niewielka furtka. To też tryumf wojska wyraził się w cyfrze 17 zabitych i 60 przeszło rannych (wykaz urzędowy generał-gubernatora mówił o 3 zabitych i 24 rannych). Prócz znalezionych na placu zostało bardzo wielu lekko ranionych, którzy zdołali ujść z pobojowiska: w dzielnicy zamieszkałej przez ludność robotniczą według pogłosek prawie nie było domu, gdzieby się nie znalazło kilku rannych.

Rzeź ta wywołała wśród robotników niesłychane wzburzenie. Nazajutrz strajk ogarnął wielką fabrykę tytoniu Kohena, fabrykę gorsetów i wiele innych. Ruch tramwajowy ustał, bo konduktorzy również przyłączyli się do bezrobocia. Niebawem zrobili to samo piekarze, z wyjątkiem Turków, mających w mieście około 10 swoich piekarni. Ogromny tłum ludu zapełniał ulice, szerząc propagandę powszechnego strajku i zmuszając groźbą albo przemocą do zawieszenia wszelkiej pracy. Kiedy usiłowano wymódz na piekarzach Turkach przystąpienie do bezrobocia, nastąpiła bójka uliczna z kozakami, tym razem bez użycia broni palnej: kozacy nacierali szablami i nahajkami, tłum bronił się kamieniami i kijami. Z obu stron odniosło rany po kilkanaście osób.

Bezrobocie rozszerzyło się na drukarnie, tak że gazety przestały wychodzić z wyjątkiem *Kijewlanina,* który drukowano pod eskortą 50-ciu policyantów.

Na trzeci dzień w piątek d. 7 t. m. rozruchy ponowiły się i doprowadziły do trzech poważniejszych starć z wojskiem, przy ulicy Puszkińskiej, około młyna Brodzkiego i na brzegu Dniepru.

Na Puszkińskiej ulicy znajduje się wielka fabryka tyto-

niu Salomona Kohena, którego nie należy mieszać z wyżej wymienionym. Tłum strajkujących wpadł tutaj, zburzył duże maszyny i zmusił pracujących do przerwania roboty. Wywiązała się zacięta walka z kozakami, w której znaczna liczba odniosła mniej więcej ciężkie rany.

Na Padole, u stóp góry Kijowskiej w ogromnym młynie parowym Brodzkiego już poprzednio trwało częściowe bezrobocie: młyn szedł dzięki temu, że część robotników otrzymała podwyższenie płacy. Tych to nielicznych robotników postanowiono zmusić do połączenia się ze strajkiem. Nastąpiło starcie z wojskiem i z policyą; nie strzelano wprawdzie, ale rozjątrzenie było tak wielkie, że jednego kozaka poprostu rozszarpano, a wielu poraniono. Wyparty z fabryki tłum zapełnił ulice Padołu i, rozwinąwszy czerwony sztandar, ze śpiewem kroczył ulicami. Tymczasem na drugiej stronie Dniepru, gdzie znajdują się warsztaty połączonych Towarzystw żeglugi na Dnieprze, robotnicy zapragnęli połączyć się z tłumami, zgromadzonymi na Padole. Mostu niema w tem miejscu, opanowali więc jeden z większych parostatków, *Kniaź Paskiewicz*, i popłynęli do przeciwnego brzegu. Jak tylko przybili, rozpoczęła się bójka między robotnikami a policyą i kozakami, którzy statek usiłowali odepchnąć od brzegu.

Tymczasem na brzegu w dalszym ciągu trwała walka między tłumem a wojskiem i policyą, i skoro wreszcie spędzony tłum, nie mając gdzie uciekać, chciał się dostać na ów statek przy brzegu, wojsko skierowało nań ogień, raniąc i zabijając nietylko robotników, ale wielu pasażerów, którzy przypadkowo znaleźli się na parostatku. Obliczyć ilość zabitych i ranionych w tym trzecim dniu zaburzeń niepodobna; wiadomo tylko, że była bardzo znaczna.

Strajk nietylko nie wygasł, ale ogarnął telegrafistów kolei Południowo-zachodniej, a konduktorów kolejowych utrzymano przy pracy jedynie powiększeniem pensyi, uprzedzając w ten sposób ich żądania. Sobota d. 8 b. m. przeszła spokojnie; na niedzielę zapowiedziana została wielka manifestacya, która jednak nie przybrała szerszych rozmiarów. Władze, uprzedzone o niej, zawczasu porobiły ogromne przygotowania i obsadziły wojskiem plac Sofijski, na którym miały się zebrać tłumy demonstrantów. Pomimo to jednak gromadki robotników zaczęły się już skupiać, gdy wtem ukazał się na placu idący tramwaj.

Ten widok zdemoralizował i widocznie zniechęcił robotników, przekonał ich bowiem, że obsługa tramwajów złamała solidarność. Zaczęli się oni rozpraszać i do manifestacyi tym razem nie przyszło.

Zaburzenia nie ponowiły się już więcej. Strajki niebawem ustały, odniósłszy pewne rezultaty praktyczne. Konduktorzy tramwajowi otrzymali obietnicę podwyższenia od 1-ego płacy. Robotnicy w warsztatach kolejowych, gdzie mieli dotychczas dwa tygodnie na Boże Narodzenie przymusowego świętowania, będą odtąd nie zajęci tylko przez 4 dni. Postawili to żądanie, gdyż są płatni dziennie, nie są więc zadowoleni z długich świąt.

Prócz tego na ich żądanie wydalono trzech majstrów, co tem więcej uderza, że warsztaty kolejowe są rządowe. Inne żądania robotników obiecano wziąć pod rozwagę, płacę zaś podwyższono im bezzwłocznie.

Na uwagę zasługuje podczas tych rozruchów zachowanie się wojska. W pierwszym dniu, podczas rzezi na plancie kolejowym, robotnicy po pierwszych strzałach zaczęli lżyć żołnierzy i oficerów, ostatnich zwłaszcza za to, że będąc ludźmi wykształconymi dopuszczają się mordów na bezbronnej ludności. Wojsko zaczęło objawiać pewną konsternacyę i niepewność i kto wie, do czego by doszło, gdyby nie rozkazano mu wykonywać pewnych ewolucyi i zwrotów na komendę, przez co uwaga żołnierzy skupiła się na tych aktach i odwróciła od rozterki moralnej i krwawego widoku, który mieli przed oczyma.

Zaszedł jednak podczas rozruchów kijowskich akt jawnego nieposłuszeństwa w wojsku. Jeden mianowicie oficer, którego kompania otrzymała rozkaz strzelania, wystąpiwszy przed nią, zawołał: «Łotrem będzie ten, kto będzie strzelał do swoich głodnych braci». Z kompanii nie rozległ się ani jeden strzał.

Fakt ten obiegł już szpalty prasy zagranicznej, która zaopatruje go znaczącymi komentarzami. Można jej wierzyć, że fakt jawnego niemal buntu w armii musiał zrobić w Petersburgu niemałe wrażenie. Oficer naturalnie pójdzie albo już poszedł pod sąd polowy, a kompania zostanie rozwiązana i wcielona do różnych pułków.

O zaburzeniach w Baku, które wybuchły d. 28 lipca, zamieściły gazety rosyjskie pewne szczegóły. Oto co pisały *Nowosti:*

«Ogółem strajkowało przeszło 45 tysięcy ludzi. W ciągu 10 dni nie kursowały pociągi towarowe, ani wagony-cysterny, a na ulicach Baku nie było widać ani jednego wagonu tramwajowego. Przez dwie noce miasto pogrążone było w najzupełniejszych ciemnościach, oświetlenie elektryczne nie funkcyonowało z powodu zawieszenia robót na stacyi, a i oświetlenia naftowego również nie było, ponieważ służba zarządu miejskiego także strajkowała. Przez parę dni nie wychodziły wcale gazety. Wszystkie absolutnie fabryki i zakłady przemysłowe zawiesiły pracę.

«Robotnicy urządzili cztery olbrzymie zebrania w otwartem polu, przy bramie Wilczej i w miejscowości podmiejskiej, zwanej Steńka Razin. W tem miejscu było przeszło 25 tysięcy ludzi. Tych, którzy nie chcieli iść z dobrej woli, zmuszano siłą. W ciągu pięciu czy sześciu dni robotnicy gospodarowali w Baku, jak u siebie, ponieważ administracya, rozporządzając zaledwie 600 żołnierzami, była całkiem bezsilna. Teraz, kiedy liczba wojska powiększyła dziesięciokrotnie, policya aresztuje strajkujących całemi masami i wysyła ich do miejsc zamieszkania».

Do tego dodać należy szereg pożarów, umyślnie wznieconych, które wybuchły 28 lipca u Nobla i na terenach spółki «Petrol». Spalił się prócz tego skład w Bałachanel. Na stacyi Karajasy (pod Tyflisem) podpalono towarowe składy, w których spłonęło 14 zbiorników nafty.

W Odesie w końcu lipca wybuchły poważne zaburzenia, o których bardzo niewiele dostało się do prasy europejskiej. Donoszą obecnie, że ilość strajkujących była tak wielka, iż zabrakło na razie wojska i uczniom szkoły wojskowej nakazano wykonywać czynności policyantów. Podobnie jak w innych miejscowościach, i w Odesie urządzili strajk robotnicy kolejowi. Komunikacya została przerwana i przez parę dni nie przychodziły do Kijowa pociągi z Odesy. *Odiesskija Nowosti* podają, że wskutek zaburzeń robotniczych handel znajduje się w zupełnym zastoju. Magazyny i zakłady zamykane są jedne po drugich. Hotele stoją pustkami, choć w sezonie letnim Odessa zwykle była bardzo ożywiona dla kąpieli morskich. Stacye kolejowe zawalone są towarami, których kupcy nie chcą odbierać.

Obecnie strajk w Odessie już ustał, ale depresya i niepewność trwa nadal. Korespondent *Słowa polskiego* pisze:

«W całej południowej Rosyi wre. Jak już wspomniałem,

rozruchy trwają w Konotopie i Odessie. Dalej według głuchych wieści ruszył się już Charków i Moskwa» [1]).

Władze rosyjskie są bardzo zaniepokojone rozruchami, które prócz innych bardzo poważnych następstw, mają już dziś ten rezultat, że budzą w Europie podejrzenia co do siły państwa na wewnątrz. Dyrektor departamentu, Łopuchin, udał się do Kijowa, vice-minister von Wahl objeżdża miejscowości południowej Rosyi, gdzie srożą się strajki i t. d.

W Europie budzi się już pewna reakcya przeciw wędrówce kapitałów do Rosyi, a czynnikiem tej reakcyi oprócz kryzysu przemysłowego jest wewnętrzny ferment, przedewszystkiem zaś ruch robotniczy, który się wyraża w tak ostrych formach. *Oswoboždienje* podaje w numerze 27 odpowiedź znacznej firmy bankierskiej w Niemczech na propozycyę robioną jej z Rosyi:

«Królewiec w Prusiech 8 czerwca 1903 r. Szanowny list Panów otrzymaliśmy i bardzo żałujemy, że w chwili obecnej nie możemy skorzystać z propozycyi, gdyż panujące obecnie w Rosyi zaburzenia polityczne zmuszają nas do powstrzymania się od dalszego rozszerzania tam naszych interesów».

Ruch robotniczy w Rosyi staje się już dziś pierwszorzędną siłą, rozsadzającą jej ustrój obecny. Przez same warunki swego życia skupieni w wielkie masy w ogniskach handlu i przemysłu, przez te same warunki otrzymują robotnicy podstawy naturalne, na których wszelka organizacya dokonywa się prędko i łatwo. Pod grozą zejścia na stanowisko niewolników wobec przedsiębiorców muszą oni zdobyć umiejętność zbiorowego występowania i działania i ćwiczyć się w niej nieustannie. Masy te wystawione są na bardzo intensywną propagandę, która w ekonomicznej swej treści przyjmuje się z łatwością, bo albo mówi o rzeczach znanych robotnikowi z codziennego doświadczenia, albo wulgaryzując i upraszczając zjawiska życia ekonomicznego, tem samem czyni je zrozumiałemi dla umysłów.

Najłatwiej zrozumieć robotnikowi, że powinien mieć możność wobec przedsiębiorcy występowania zbiorowego, wolność urządzania strajków i traktowania z przedsiębiorcami jako ciało zbiorowe. Zrozumienia potrzeby tej uczy robotników i praktyka codzienna, i propaganda agitatorów. Na straży bierności mas

[1]) Ostatnie korespondencye donoszą o wielkim strajku i rozruchach w Ekaterynosławiu, gdzie również doszło do starcia z wojskiem, przyczem padło kilku zabitych i kilkunastu rannych.

roboczych stoi atoli w Rosyi prawo, stosujące się do wszystkich poddanych, a zabraniające im zbiorowego wyrażania swych życzeń. Jest to artykuł 112 ustawy o uprzedzaniu i tłumieniu przestępstw. Dalej, rozumie się samo przez się, że takie zbiorowe akty jaknajściślej związane są z możnością omawiania swych spraw na odpowiednich zebraniach: wiadomo, że zebrania takie bez specyalnego upoważnienia uważane są w Rosyi za nielegalne. Otóż robotnik znajduje się w takich warunkach, że najistotniejsze jego interesy zmuszają go do przekraczania ustawicznego tych artykułów kodeksu rosyjskiego, a dodajmy zarazem, tej siatki ochronnej ustroju autokratycznego. Przypominamy, ile kłopotu ma rząd rosyjski z młodzieżą uniwersytecką, która ma pewną naturalną organizacyę, pewne wspólne uczucia i interesy, i stąd w żaden sposób nie mogła się pogodzić z rolą «oddzielnych studentów», którą rząd chciał jej narzucić. Znaczenie młodzieży w dotychczasowem życiu politycznem Rosyi na tem właśnie polegało, że stanowiła ona na tle powszechnej bierności i atomizacyi społecznej jedyny żywioł zorganizowany, postawiony nadto dzięki uciskowi rządowemu w takie warunki, że dla zaspokojenia najzwyklejszych potrzeb zbiorowych (np. urządzenia pomocy koleżeńskiej) musiał dopuszczać się czynów nielegalnych. Obecnie rząd, który przekonał się już, że żadnymi przepisami nie udało mu się rozbić łączności młodzieży akademickiej, ma już do czynienia z siłą społeczną, bez porównania znaczniejszą, niż studenci, a siła ta na mocy ogólnego ustroju państwa rosyjskiego, aby sobie zapewnić konieczne warunki ludzkiej egzystencyi, możność oddychania i poruszania się, świadomie czy nieświadomie musi stawać się się wrogą tym kajdanom politycznym, które ją na każdym kroku krępują.

Z tego stanowiska ruch robotniczy w Rosyi należy uważać za konsekwentną, a zaciętą walkę o prawo w europejskiem słowa tego znaczeniu: olbrzymie zaś jej znaczenie na tem polega, że jest ona skarbnicą najlepszej, bo poglądowej nauki w tym względzie dla całego społeczeństwa rosyjskiego, namacalnym dowodem tego, że rząd nie jest wszechmocny i że przed prawdziwą siłą społeczną prędzej czy później musi ustąpić.

Zrozumiano już od dość dawna w wyższych sferach rosyjskich, że przeciw ruchowi temu środki policyjne nie wystar-

czą, że trzeba prócz knuta i pałki pewnego umiejętnego postępowania z robotnikami, słowem — odpowiedniej polityki.

Minister finansów Witte wniósł niedawno do Rady Państwa projekt prawa, zezwalającego na utworzenie instytucyi przedstawicieli robotniczych, którzy mieliby za zadanie traktować z przedsiębiorcami, a nawet z przedstawicielami władzy, o ile chodzi o lokalną kwestyę, «nie wykraczającą po za obręb jednej fabryki». Memoryał ministra, zawierający motywy do wniosku, podało *Oswobożdienje*. Spotykamy tam kilka uwag ogólno-politycznego znaczenia. Witte z uznaniem cytuje zdanie ks. Światopełka-Mirskiego, które tenże wypowiedział po zbadaniu przyczyn rozruchów w r. 1901 w Petersburgu: «Byłoby pożytecznem dać robotnikom prawo wybierać z pośród siebie stałych pełnomocników do traktowania z zarządem fabryki, albo z inspektorem fabrycznym. Prośby i deklaracye, ujęte w prawną formę, nie miałyby wtedy charakteru protestów, niebezpiecznych dla spokoju. Porządek wyboru takich pełnomocników, ich prawa i obowiązki powinny być określone przez odpowiednią władzę».

Mamy tutaj w sposób zupełnie określony wyrażoną tę myśl, że dojrzała i rzeczywiście odczuwana potrzeba społeczna musi być uznana przez państwo; nie chcąc, aby ta zwracała się bezpośrednio, albo nawet pośrednio przeciw niemu, otwiera jej ono upust, poprzestając na mniejszej lub większej reglamentacyi.

Powróćmy do memoryału Wittego. Przyznaje on, że ustępstwa, o jakich mowa, nie zgadzają się z prawodawstwem rosyjskiem, które nie uznaje samopomocy zbiorowej, ani zgromadzeń. Wymienia on artykuły 111—118 wspomnianej ustawy. «Widać stąd — pisze minister — o ile trudnem jest należyte zastosowanie wyżej wskazanego środka, stworzonego przez samo życie, oraz dlaczego nie może on dać rezultatów, jakich należałoby od niego oczekiwać w innych warunkach». Pokonywa jednak minister swoje skrupuły państwowe i gorąco poleca utworzenie owych „*starostów*“, podając jednocześnie szereg środków policyjnych, któreby nowej instytucyi nie dozwoliły przybrać niebezpiecznego charakteru. Do tych należy między innymi ścisłe określenie warunków, jakim ma zadośćczynić „*starosta*“ i prawo zatwierdzania go przez przedstawiciela władzy państwowej.

Myślą przewodnią tej reformy jest pozbawienie rozruchów robotniczych ich antyrządowego charakteru i wogóle dążeń politycznych. To samo zadanie postawił sobie inny przedstawiciel

państwowości rosyjskiej, głośny ostatnimi czasy Zubatow. Był on naczelnikiem *„ochrany“* moskiewskiej i tutaj zasłynął z prób organizowania robotników w obronie wyłącznie ich interesów ekonomicznych. Ruch w ten sposób obudzony nie miałby się nigdy zwracać przeciw władzy państwowej; przeciwnie, rozwijałby się on pod łaskawem okiem, niejako protektoratem moralnym żandarmów i od nich czerpałby pomoc, wskazówki i światło. Zasługi tej specyalnie rosyjskiej postaci trybuna i tajnego policyanta w jednej osobie oceniono widocznie w Petersburgu; Zubatow porzucił swój niepozorny urząd i został powołany do rządu centralnego jako ekspert w rozwiązywaniu zagadnień społecznych. Tak zwana przez socyalistów rosyjskich *„Zubatowszczyna“* sprzyjała wytworzeniu się całej partyi robotniczej t. zw. niezależnych *(niezawisimyje).* Ich przywódcy cieszą się zupełną wolnością, mogą nawet urządzać bezrobocia, traktować z fabrykantami, pomimo że z punktu widzenia istniejących praw ich działalność jest właściwie nielegalną. W ostatnim numerze *Rewolucjonnoj Rossii* mamy opis działalności niejakiego Szajewicza, który prowadził tego rodzaju legalno-nielegalną działalność. Starszy inspektor fabryczny Popow skarży się na niego w tajnym raporcie (którego tekst dosłowny rzeczone pismo zamieszcza) i jest widocznie niezadowolony z tolerancyi, którą okazują mu pod wpływem Zubatowa władze wyższe. Polityka Zubatowa, jako zbyt subtelna i zresztą dosyć obosieczna nie podoba się wielu przedstawicielom «porządku», którzy przyzwyczaili się utrzymywać go nietyle przebiegłością, ile pałką. Stąd też nawet wysoko stojące w hierarchii organy władzy wpadają w kolizyę i zdradzają w tej kwestyi brak ustalonego systemu rządowego. W tym samym numerze *Rewolucjonnoj Rossii* podano sensacyjną wiadomość, że znany żandarm kijowski, Nowickij, otrzymawszy proklamacyę wydaną przez «niezależnych» i dowiedziawszy się, że na czele jej stoi niejaka Wilbuszewiczówna, kazał ją aresztować. Na drugi dzień otrzymał telegram z Petersburga z rozkazem wypuszczenia jej natychmiastowego. Żandarm tym sposobem dowiedział się, że sam znajduje się pod kontrolą *„ochrany“* i natychmiast pojechał do Petersburga. Proklamacya, o której mowa, była sankcyonowana przez *„ochranę“;* doszło więc do tego, że ostatnia za zgodą ministeryum spraw wewnętrznych puszczała w świat proklamacye nielegalne i przeciwne duchowi państwa rosyjskiego.

Fakt ten, jak cała wogóle *Zubatowszczyna* dowodzi, że ruchowi robotniczemu już dziś trudno mieścić się w ciasnych stosunkach koszarowych Rosyi. Najwybitniejsi jej działacze wiedzą, że rodzącym się objawom życia trzeba otworzyć upust. Zarazem jednak widzą oni, że upust ten otworzyć się może jedynie przez nadwerężenie podstawy, na której jedynie bezpiecznie spoczywał gmach państwowy.

Dać robotnikom prawo obrad i prawo inicyatywy — to znaczy uprzywilejować ich w stosunku do innych poddanych, dać to samo i tamtym także, to znaczy kwitować z możności utrzymania przez czas dłuższy absolutyzmu. Droga pośrednia, którą chce kroczyć carski absolutyzm, nie jest wcale łatwa, osobliwie dla biurokracyi, która w skomplikowanych zagadnieniach społecznych przestaje się oryentować i stąd okazuje brak zdolności do prowadzenia przebiegłej i dalekowidzącej polityki, jakiej takie zadania wymagają. Polityka Zubatowa stanowczo jest zatrudna dla tępych narzędzi biurokratycznych i ciężkich figur żandarmskich, wychowanych w szkole Aleksandra III.

Z tych tedy powodów uważać należy ruch robotniczy za ważny czynnik przetwarzający ustrój państwowy rosyjski w kierunku konstytucyjnym. Te masy nie obalą go zapewne nigdy jednem uderzeniem, jakąś «rewolucyą proletaryatu» lub t. p., jak to często zdarza się słyszeć lub czytać w pismach socyalistycznych — pomijając inne warunki, nawet za lat dziesiątki będzie ich zamało — ale już dziś samym swym ruchem, nawet nieświadomymi odruchami, rozsadzają one ramy prawne, niszczą ustaloną rutynę biurokracyi, budzą społeczeństwo z apatyi, słowem burzą to wszystko, co stanowi siłę absolutnego rządu.

T.

Z CAŁEJ POLSKI.

Kłopoty Komisyi kolonizacyjnej. Koloniści niemieccy w Galicyi. Potrzeba stworzenia wielkiej instytucyi parcelacyjno-kolonizacyjnej. Społeczne i narodowe znaczenie własności średniej. Bank szlachecki w krajach zabranych.

Wiadomo, że Komisya kolonizacyjna, pomimo usilnych starań, nie może znaleźć osadników na zakupione przez nią znaczne obszary w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich. Niemcy

rolnicy z prowincyi zachodnich nie chcą iść na kresy wschodnie, odstraszają ich od osiadania tam nietylko nieznane i trudne warunki gospodarki, ale i uciążliwa reglamentacya, którą Komisya osadnikom narzuca i narzucać musi ze względu na cele polityczne i narodowe osadnictwa niemieckiego na ziemiach polskich. W działalności swej Komisya posługuje się w znacznej mierze materyałem miejscowym. Więcej niż $^1/_3$ osadników stanowią Niemcy, oddawna już mieszkający na ziemi polskiej. Ci żywiołu niemieckiego na kresach wschodnich nie wzmacniają.

W poszukiwaniu osadników agenci Komisyi zwracać się zaczęli w ostatnich czasach do kolonistów niemieckich w Królestwie, na Wołyniu i w Galicyi, zachęcając ich do osiadania w Poznańskiem. Wielu usłuchało wezwania, nie okazali się jednak pożądanym nabytkiem dla dzieła wzmacniania niemczyzny na kresach wschodnich państwa pruskiego. Jak się okazało, koloniści z Królestwa, Galicyi a nawet z Wołynia są już spolszczeni, mówią dobrze po polsku i chętniej utrzymują stosunki z miejscowymi Polakami, niż z przybyszami Niemcami z prowincyj zachodnich.

Wzmacniając niemczyznę w Poznańskiem za pomocą dosyć wątpliwych żywiołów, Komisya osłabia ją w dalszych ziemiach polskich. Nie ma jednak wyboru. Zakupiwszy znaczne obszary ziemi, musi szukać na nie osadników, administracya bowiem nabytych majątków bardzo drogo kosztuje, pochłania niemal cały z nich dochód. Zdaje się, że nawet trzeba będzie odstąpić od myśli rozparcelowania zakupionych obszarów i nadające się do tego większe majątki zamienić na «domeny», dobra skarbowe.

Koloniści niemieccy z Galicyi wschodniej, jak donosi *Słowo polskie*, w coraz większej liczbie opuszczają dawne siedziby i, szukając lepszych warunków bytu, rozchodzą się w różne strony. Nietylko przenoszą się w Poznańskie i do Prus Zachodnich, ale — i bodaj głównie — emigrują do Kanady, w ostatnich zaś czasach do Bośnii. Pewna ich część osiada na Bukowinie i na Ślązku austryackim (?). Ani władze krajowe, ani opinia publiczna nie zwracają należytej uwagi na ten ruch, który przybiera coraz większe rozmiary. W pismach znaleźć można często ogłoszenia kolonistów niemieckich, szukających nabywców na swe osady, które sprzedają stosunkowo bardzo tanio, nieraz za bezcen. Autor artykułu w *Słowie polskiem* sądzi, że

liczba kolonistów niemieckich w Galicyi wynosi około 200.000. Cyfra ta wydaje nam się znacznie przesadzoną. Podczas ostatniego spisu ludności naliczono w Galicyi 211.752 osoby, używające w życiu domowem języka niemieckiego. Ale, jak wiadomo, w tej ogólnej liczbie jest wielu żydów. Dalej odtrącić z niej należy używających w domu języka niemieckiego we Lwowie około 20.000 i w Krakowie 7.000. Większy procent używających języka niemieckiego znajdujemy w Galicyi zachodniej tylko w powiecie bialskim (15.73), zaś w Galicyi wschodniej w powiatach dolińskim (16.40), nadwórniańskim (12.81), kossowskim (12.02), śniatyńskim (11.58), kołomyjskim (10.02). Znaczny procent tych Niemców stanowią niewątpliwie żydzi. Oprócz tego w ośmiu powiatach procent ludności, używającej języka niemieckiego, wynosi wyżej 5%. Są to powiaty Drohobycz 8.89, Bohorodczany 8.80, Stryj 8.64, Jaworów 7.38, Brody 6.43, Lwów (wieś) 5.94, Przeworsk 5.66 i Stary Sambor 5.61. Tu znów, przynajmniej w Drohobyczu i Brodach, używającymi języka niemieckiego są przeważnie żydzi. W dwunastu powiatach procent ludności, używającej języka niemieckiego wynosi 2—4%, w innych powiatach nie dochodzi zazwyczaj nawet 1%. Liczba kolonistów niemieckich w Galicyi, zamieszkujących po wsiach i małych miasteczkach niezawodnie nie dochodzi 100.000, a nawet prawdopodobnie niewiele przewyższa 50.000. Ma się rozumieć, nie wchodzą w rachubę ci osadnicy niemieccy, którzy się już zupełnie spolszczyli. Mniej lub więcej spolszczeni są prawie wszyscy katolicy. W protestantach podtrzymują niemczyznę pastorzy i szkoły wyznaniowe. Ale naogół jest ich niewielu, w r. 1900 bowiem było w całej Galicyi zaledwie 45.331 ewangelików i to wszelkich wyznań.

Z wyjątkiem powiatu bialskiego na zachodzie Galicyi osadnictwo niemieckie w tym kraju nie przedstawia żywiołu niebezpiecznego. Nie mamy więc powodu pozbywania się osadników niemieckich dla «nadania krajowi jednolitego charakteru». We wschodniej Galicyi zwłaszcza, gdzie o jednolitości nie może być mowy, domieszka kolonistów niemieckich powinna być raczej pożądaną. Ci koloniści w każdym razie prędzej się spolszczą, niż zruszczą, zwłaszcza katolicy. Autor cytowanego artykułu wszakże twierdzi, że «od czasu Wrześni i Malborga» niektórzy Niemcy żyją w ciągłej nieprzyjaźni, w wiecznych zatargach z Polakami, a w stosunkach między nimi daje się spo-

strzegać ciągle wzrastająca nienawiść, która sprawia, że Niemcy łączą się na niekorzyść Polaków z Rusinami.

Niewątpliwie w ostatnich czasach propaganda prusko-niemiecka działa i pomiędzy kolonistami w Galicyi. Dzienniki polskie niejednokrotnie zaznaczały objawy a nawet zuchwałe wybryki tej propagandy. Przypuszczamy wszakże, iż przytoczona wyżej charakterystyka stosunku kolonistów niemieckich do Polaków dotyczy głównie, jeżeli nie wyłącznie, kolonij w powiecie lwowskim. Tu istotnie i to nietyle wskutek propagandy wszechniemieckiej, ile wskutek agitacyi p. Breitera i radykałów ruskich, koloniści niemieccy zaczęli się wyodrębniać od Polaków i łączyć przeciw nim z Rusinami.

Jeżeli atoli nie mamy powodu pozbywania się kolonistów niemieckich, to nie mamy również powodu zatrzymania ich w kraju, skoro chcą emigrować. Wolimy nawet, żeby w Poznańskiem np. oni osiadali, niż przybysze z Hanoweru, Westfalii lub Wirtembergii.

Gdy Niemcy koloniści zaczynają sami wynosić się z Galicyi, to słusznie *Słowo polskie* podnosi, że leży w naszym interesie, ażeby grunta tych emigrantów przechodziły w ręce polskie. Dotychczas wszystkie posiadłości opuszczane przez Niemców zajmują Rusini. «Księża ruscy — czytamy w przytoczonym artykule — posiadają znakomicie zorganizowaną policyę wywiadowczą i gdzie tylko jaki Niemiec wyprzedaje, w tej chwili wstępuje Rusin w jego miejsce». Dowiadujemy się dalej, że Rusini galicyjscy otrzymują znaczną pomoc materyalną z Rosyi na cele parcelacyi i kolonizacyi wewnętrznej. Obowiązkiem więc każdego Polaka jest «tak intensywnie działać przy parcelacyach i wykupnach, jak to czynią księża ruscy». «Teraz właściwie nadeszła chwila, gdy Bank parcelacyjny może spełnić obowiązek patryotyczny». Redakcya *Słowa* zaznacza wszakże, iż w planach kolonizacyjnych nie powinniśmy łudzić się nadzieją, iż Bank parcylacyjny zdoła podjąć akcyę na większą skalę. Nie ma on ani organizacyi odpowiedniej, ani kapitałów, i ze względu na swój charakter stowarzyszenia zarobkowego nie może znacznie ich powiększyć. Działalność Banku bardzo jest użyteczną, ale w ograniczonym zakresie instytucyi pośredniczącej. Natomiast coraz bardziej naglącą staje się potrzeba utworzenia wielkiej instytucyi parcelacyjno-kolonizacyjnej. Już rok temu prof. Głąbiński rzucił projekt stworzenia takiej insty-

tucyi, założenia wielkiego «Banku polskiego», którego głównem zadaniem byłoby racyonalne, planowe prowadzenie parcelacyi i kolonizacyi. O ile nam wiadomo, podobny projekt z rozszerzonym nawet zakresem działania instytucyi powstał niezależnie i podjęto starania, ażeby doprowadzić go do skutku. Ta zbieżność projektów wskazuje, że powołanie do życia wielkiej instytucyi parcelacyjno-kolonizacyjnej jest potrzebą społeczną i narodową, w szerokich kołach uznawaną. Należałoby więc tylko usiłowania, już dzisiaj tu i owdzie w czyn wprowadzane, skupić i zjednoczyć. Bo nie trzeba się łudzić, że ustawa o włościach rentowych rozstrzygnie sprawę racyonalnej parcelacyi i kolonizacyi. Gdyby nawet ta ustawa w blizkiej przyszłości, na co się bynajmniej nie zanosi, została uchwalona, ułatwi ona tylko parcelacyę i kolonizacyę, ale nie usunie konieczności stworzenia instytucyi, którąby ten proces społeczno-ekonomiczny celowo regulowała i organizowała.

Dziś nietylko spekulanci prywatni, ale i instytucye parcelacyjne prowadzą i prowadzić nieraz muszą t. zw. parcelacyę dziką. I Bank parcelacyjny nie jest wolny od tego zarzutu, jakkolwiek się stara o nadanie swym czynnościom charakteru racyonalnego. Operując bowiem kredytem, musi dbać nietylko o najzyskowniejsze, ale i możliwie najszybsze rozwikłanie każdego poszczególnego interesu. Nie może więc skutecznie zapobiegać dzieleniu przez nabywców ziemi na zbyt drobne parcele, nie może niekiedy, chociaż zawsze usiłuje, ocalić od podziału i zniszczenia głównej części majątku z zabudowaniami folwarcznemi. Tymczasem w ogromnej większości wypadków pozostawienie tej głównej części majątku, tego, co Niemcy nazywają *Restgut*, jest nietylko ze względów gospodarczych, ale i ze względów narodowych i społecznych pożądanem, zwłaszcza w Galicyi wschodniej. Racyonalnie prowadzona parcelacya obok silnej ekonomicznie własności drobnej powinna zmierzać celowo do wytwarzania w kraju własności średniej. We wszystkich krajach, gdzie taka własność istnieje, wytwarza ona najzdrowszy, bo moralnie i materyalnie niezależny żywioł społeczny.

Nie wydaje nam się bynajmniej przesadnem twierdzenie Demoulinsa, że Anglia swoją wielkość, swój rozwój polityczny i duchowy zawdzięcza przeważnie swojej *gentry*. Angielska *gentry* dała swej ojczyźnie nietylko długi szereg znakomitych ludzi, ale ona — bynajmniej nie arystokracya — wytworzyła bodaj

najwyższy społeczny i obyczajowy typ współczesny, typ angielskiego *gentelmana* we właściwem znaczeniu tego wyrazu. Ten typ inne klasy społeczne zaczęły naśladować i na nim się wzorować.

Niemożliwy jest prawidłowy rozwój samorządu i wogóle życia publicznego w kraju, dopóki niema liczebnie silnej i niezależnej materyalnie klasy średnich właścicieli ziemskich lub dzierżawców. Nawet w społeczeństwach chłopskich, jak np. Norwegia, samorząd opiera się na klasie zamożnych, posiadających możność zdobycia pewnego wykształcenia gospodarzy. U nas w Galicyi należy przeciwdziałać energicznie rozrastaniu się *latifundyów* i znikaniu własności średniej. Dopóki tej własności nie wytworzymy i nie wzmocnimy, nie zdobędziemy prawdziwego samorządu miejscowego, będziemy mogli tylko, jak dziś, przeciwstawiać biurokracyi państwowej — biurokracyę krajową.

Zachodzi pytanie: czy możliwe jest wytworzenie silnej własności średniej w Galicyi? Odpowiedź zależy od rozstrzygnięcia jednej kwestyi zasadniczej i dwóch realnych. Czy możliwe jest wogóle normowanie i regulowanie procesów społecznych? Sądzimy, że odpowiedź musi być twierdzącą. Zjawiska społeczne i ekonomiczne, jak wszelkie zjawiska życia naszego, podlegają w mniejszym lub większym stopniu oddziaływaniu woli i myśli ludzkiej. Nie można dowolnie stwarzać procesów społecznych, ale można je świadomie regulować, przyśpieszać lub powstrzymywać ich bieg, ujmować je w pewne formy.

Chodzi teraz o to, czy tendencya rozwoju naszych stosunków gospodarczych i społecznych nie sprzeciwia się wytwarzaniu własności średniej? Między ludźmi, znającymi stosunki gospodarcze kraju, niema bodaj dwóch zdań, że rolnictwo w Galicyi nie może poprzestać na uprawie zboża, ale musi iść w kierunku rozwijania swych ubocznych gałęzi. Otóż dla rozwoju wielu i najzyskowniejszych gałęzi gospodarstwa rolnego, jak ogrodnictwo i sadownictwo, produkcya nasion, mleczarstwo, hodowla drobiu i t. d. odpowiedniejszą od własności wielkiej formą warsztatu gospodarczego, a niekiedy nawet formą jedynie możliwą jest własność średnia. Znalazłby się w społeczeństwie naszem materyał odpowiedni do wytworzenia klasy właścicieli lub dzierżawców posiadłości średniego obszaru. W Galicyi zachodniej znaleźć można wielu chłopów, posiadających już 100-morgowe i większe folwarczki, zazwyczaj przy parcelacyi lub nawet

drogą skupu mniejszych gospodarstw utworzone. Jeżeli nie oni sami — chociaż i to się zdarza — to niewątpliwie ich synowie mogą mieć odpowiednie do swego stanowiska społecznego wykształcenie, a nawet kulturę obyczajową. Inne klasy społeczne mogą również dostarczyć i dziś czasem dostarczają nabywców lub dzierżawców majątków, należących do kategoryi średniej własności. Właściciele większych obszarów i ich spadkobiercy, którzy się na ojcowiznie utrzymać nie mogą, oficyaliści rolni, którzy mają trochę gotówki, wreszcie nawet przedstawiciele zawodów wyzwolonych i urzędnicy, rozporządzający dostatecznym kapitałem. Takich jest wielu. W instytucyach finansowych, zwłaszcza na prowincyi, są ulokowane w znacznej liczbie wcale spore kapitały, złożone na procent przez ludzi, należących do tej kategoryi zawodów. Te kapitały służą obecnie do zasilania, a nawet wytwarzania pośrednio kredytu w jego najniezdrowszej, a bardzo rozpowszechnionej w Galicyi formie kredytu osobistego, konsumpcyjnego. Zarówno więc układ czynników gospodarczych, jak społecznych raczej sprzyja, niż sprzeciwia się powstaniu w Galicyi średniej własności i klasy właścicieli lub dzierżawców, niezależnej i jako tako uzdolnionej do sprawowania tych czynności życia publicznego, które są konieczne przy rozwoju rzetelnego samorządu miejscowego.

Zbyt długo nie możemy tu rozwodzić się nad tą sprawą, mającą doniosłe znaczenie nietylko dla Galicyi, ale i dla innych dzielnic Polski. Utrzymanie bowiem lub nawet wytwarzanie własności średniej jest pożądanem ze względów narodowych zarówno w zaborze pruskim, jak rosyjskim. Komunałem stało się zdanie, że jedną z przyczyn naszego upadku był brak stanu średniego. Otóż do stanu średniego, a raczej może do klasy średniej po zniesieniu przywilejów stanowych należą pewne kategorye osób nietylko zajmujących się handlem i przemysłem, ale i rolnictwem. Ze stanowiska społecznego i ekonomicznego nie można dziś do tej klasy zaliczać przedstawicieli wielkiego handlu i wielkiego przemysłu, którzy tworzą arystokracyę kapitalistyczną, ale natomiast integralną i bodaj najważniejszą część tej klasy w społeczeństwie naszem, bądź co bądź w znacznej jeszcze mierze rolniczem, stanowić powinni przedstawiciele średniej własności ziemskiej.

Na początku wspomnieliśmy o zdobyczach Komisyi kolonizacyjnej. W ostatnich czasach dużo o tej sprawie pisały na-

sze dzienniki, Komisya bowiem w przyśpieszonem tempie zaczęła zakupywać znaczne obszary ziemi, przeważnie jednak od Niemców, chociaż kilka majątków sprzedali znowu Polacy, bynajmniej nie zmuszeni potrzebą do wyzbywania się ojcowizny.

Czytelnicy pism codziennych, zostający pod wrażeniem artykułów, poświęconych niebezpiecznej działalności Komisyi kolonizacyjnej, nie zwrócili zapewne nawet uwagi na krótkie sprawozdanie z czynności rosyjskiego Banku szlacheckiego na Litwie i Rusi. To jest także w swoim rodzaju Komisya kolonizacyjna, ale spełniająca jedną tylko część zadań swego pruskiego wzoru. Mianowicie Bank szlachecki daje kredyt wyłącznie Moskalom nietylko na majątki dawniej przez nich nabyte, ale od r. 1894 i na kupowanie majątków od Polaków. W ciągu ośmiu lat niespełna, od r. 1894 do końca roku 1901 Bank szlachecki wykupił w krajach zabranych 136 majątków polskich, zajmujących obszar 200.000 morgów za ogólną sumę 12 milionów rubli. Najwięcej majątków wykupiono na Wołyniu.

Stratom, ponoszonym na zachodzie, które szczegółowo obliczamy, należy, chociażby dla pełności obrazu, przeciwstawiać straty na wschodzie. I tam się również kurczy ojczyzna, wprawdzie nie odziedziczona po przeddziejowych przodkach, «co śpią w kurhanach pod omszałym głazem», ale niemniej droga, może nawet droższa, bo krwią i ciężkim znojem pracy kulturalnej nabyta. Wysilkami energii i zabiegłości możemy równoważyć, lub nawet z przyrostem odzyskiwać straty, ponoszone na zachodzie. Sprawozdania urzędowe pruskie wykazują, że w okresie od r. 1897, pomimo działalności Komisyi kolonizacyjnej na ogół przeszło więcej ziemi z rąk niemieckich w polskie, niż z polskich w niemieckie. Gdyby nawet te wykazy były tendencyjnie sfałszowane dla podniecenia opinii niemieckiej, to jednak nie ulega wątpliwości, że w zaborze pruskim, pomimo praw wyjątkowych, mamy możność powetowania strat, na które nas przeważnie własna lekkomyślność lub nikczemność naraża. Natomiast w krajach zabranych nie możemy równoważyć strat poniesionych, bo prawo zabrania Polakom nabywania ziemi, a polityka rządu rujnuje celowo polską własność ziemską lub uniemożliwia, w najlepszym razie utrudnia jej ratowanie.

Dwa są podstawowe, przyrodzone czynniki bytu narodowego: ludność i ziemia. Na kresach zachodnich, w zaborze pruskim sprawa nasza opiera się głównie na pierwszym z tych

czynników. Bo chociaż i posiadanie ziemi ma tam wielką doniosłość, ale w walce o byt zwyciężamy lub przynajmniej utrzymujemy się liczbą ludności, szybszym jej przyrostem, dzielnością jej i wytrwałością, zdolnością przystosowywania się do trudnych warunków. Natomiast na kresach wschodnich główną naszą siłą jest posiadanie ziemi. Utrata ziemi jest zarazem utratą naszych wpływów, naszego stanowiska, naszej racyi bytu w tych krajach.

J. L. Jastrzębiec.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Zmiana na tronie papieskim.

Trudno wyobrazić sobie zmianę osobistą na jakimkolwiek z tronów Europy, któraby pod względem doniosłości dla naszych interesów narodowych równać się mogła ze zmianą, jaka świeżo się dokonała w najwyższym rządzie Kościoła przez śmierć Leona XIII. Zamyka ona dość długi, bo 26 lat liczący okres polityki kościelnej i przeważna część opinii, zdaje się nie bez podstawy, oczekuje od następcy zmarłego papieża pewnego zwrotu, który, nie wyrażając się naturalnie w formie ostrej reakcyi przeciw pontyfikatowi poprzedniemu, nada jednak odmienny kierunek stosunkowi kuryi rzymskiej do różnych interesów narodów katolickich i do państw europejskich.

W Leonie XIII opinia widziała jednego z najwybitniejszych papieży-polityków, w jego następcy dopatruje się właśnie charakteru przeciwnego, o którym do pewnego stopnia stanowił nawet sam fakt wyboru. Jako najpoważniejszych kandydatów do tyary wymieniano kardynała Rampollę, długoletniego sekretarza stanu Leona XIII i kardynała Vanutellego. Jeden i drugi reprezentował określony kierunek polityczny: pierwszy chciał oprzeć swą politykę na rządach Francyi i Rosyi, drugi na państwach, należących do trójprzymierza, przedewszystkiem na Niemczech. Walka między stronnictwami w łonie kolegium kardynalskiego wysunęła na plan pierwszy nie przedstawiciela tego lub innego kierunku, nie zwolennika tej albo innej grupy państw a przeciwnika innej, lecz kapłana w stosunku do nich neutralnego, mającego na oku przedewszystkiem interes Kościoła.

Specyalny stosunek do mocarstw europejskich, który poprzedniemu papieżowi zjednał miano polityka, stąd wypłynął, że ten uważał się nietylko za głowę Kościoła katolickiego, ale także za wywłaszczonego monarchę państwa kościelnego i widokom na odzyskanie ostatniego dawał w swej polityce dużo miejsca. Kwestya władzy świeckiej tłómaczy stanowisko zmarłego papieża w wielu sprawach politycznych; ona w znacznym stopniu daje klucz do zrozumienia jego polityki.

Włochy zabrały państwo kościelne; stąd stanowisko kuryi względem zaborczego rządu pozostawało przez cały czas ubiegłego pontyfikatu nieprzejednanem; w stosunku do monarchów katolickich kurya ściśle przestrzegała zasady, że wizyta ich złożona królowi włoskiemu w Kwirynale, zamyka im tem samem wrota do Watykanu.

Nie koniec jednak na tem. Dla rewindykacyi swych praw politycznych musiał papież pozyskać pewne siły polityczne Europy, przedewszystkiem rządy państw potężnych. Dzisiaj dwa najpotężniejsze państwa na kontynencie Europy, chociaż mają pod swem berłem znaczną liczbę katolików, posiadają rządy niekatolickie: pierwsze — schyzmatycki, drugie — protestancki. Pomimo to polityka Leona XIII przez cały czas jego rządów zajmowała stanowisko niezmiernie przychylne względem rządu rosyjskiego, przez pierwszą zaś połowę i względem niemieckiego. Takie fakty, jak nominacya Niemca Dindera na arcybiskupstwo gnieźnieńsko-poznańskie, jak obdarzenie Bismarka orderem Chrystusa, jak pomoc, okazana ostatniemu w sprawie zjednania centrum dla septennatu wojskowego, obok innych mniej ważnych, stanowiły wymowną ilustracyę doskonałych stosunków, łączących kuryę rzymską z rządem zjednoczonego cesarstwa.

W drugiej połowie pontyfikatu, mniej więcej od objęcia przez kardynała Rampollę sekretaryatu stanu, zachodzi pewna zmiana. Polityka kuryi od początku przychylna Rosyi, teraz wyraźnie przechyla się na stronę dwuprzymierza przeciw trójprzymierzu. Występuje ona niejako w postaci siły politycznej, która poprostu sprzymierzyła się z pewną grupą państw, a tem samem dość wyraźnie stanęła w stosunku mniej przyjaznym do grupy innej. Punktem wyjścia był tu stosunek do rządu włoskiego, który w formie naturalnie łagodniejszej spadał i na jego sprzymierzeńców, na Austryę i Niemcy. Jeżeli wierzyć głosom prasy wiedeńskiej, które z racyi obioru nowego papieża dość

obszernie komentowały stosunek kardynała Rampolli do dwóch państw sprzymierzonych z Włochami, to Austryi przedewszystkiem były sekretarz stanu nie mógł darować, że wbrew swym katolickim tradycyom podała dłoń sprzymierzeńczą zaborcy odwiecznego dziedzictwa papieży. Jego to namowom — powtarzamy według tych samych komentarzy — należy przypisać nieubłaganą postawę Leona XIII, która dotychczas powstrzymywała cesarza Franciszka Józefa od rewizytowania swojego sprzymierzeńca, króla włoskiego, w Rzymie. Względem Niemiec polityka kuryi objawiała za Rampolli pewną chłodną powściągliwość; mimo umizgów cesarza Wilhelma nie udało się Niemcom odebrać Francyi jej tradycyjnego protektoratu na Wschodzie. Mocarstwami, z któremi kurya pielęgnować usiłowała wtedy stosunki jaknajlepsze, były Francya, przedewszystkiem zaś Rosya. I tu odegrał rolę wzgląd na państwo kościelne, bo Rosya słusznie czy niesłusznie uchodzi za najpotężniejsze państwo w Europie, z którego głosem przy wszelkich zmianach terytoryalnych w naszej części świata poważnie trzeba się liczyć. Nadto niezmiernie potężnym czynnikiem były tutaj stare plany Watykanu, a raczej illuzye, starsze jeszcze od misyi possewinowskiej, które, mimo dotychczasowych niepowodzeń znajdują w kolegium kardynalskiem wielu zwolenników. Mówimy o próbach połączenia oderwanego Kościoła wschodniego z katolickim pod władzą papieża, czyli poprostu o nawróceniu Rosyi na katolicyzm. Dla Polaków, obeznanych cokolwiek z historyą Rosyi i z jej stosunkami obecnymi, odczuwających tę zajadłość, jaką żywi przeciętny Moskal do «łacinników», jaka przenika literaturę rosyjską nawet u jej przedstawicieli sympatyzujących z Europą — dla Polaków, którym Moskale ciągle powtarzają, że przez swoje „*łatynstwo*“ są oni niejako zdrajcami Słowiańszczyzny, plany possewinowskie są czemś zupełnie fantastycznem. Podobne złudzenia tłómaczyć chyba można ogólną właściwością natury ludzkiej: ludzie widzą rzeczy takiemi, jakiemi je chcieliby mieć; dalej należy pamiętać, że Rosyę w Europie rzeczywiście znają mniej, niż nam się zdaje; w dodatku zaś jej dyplomacya wysila się na to, aby Watykan utrzymać w wygodnem dla niej złudzeniu, z którego przy sposobności ciągnie ona niepospolite korzyści. Od czasu do czasu zdarza się fakt przejścia na katolicyzm jakiegoś arystokraty rosyjskiego i fakt taki

wobec sprzyjającej w Rzymie atmosfery, rozdymany zostaje do znaczenia zapowiedzi blizkiego przełomu.

Wskutek tych czy innych motywów jest niewątpliwym faktem, że w obecnej chwili w najwyższych sferach kościelnych wiara w możliwość nawrócenia Rosyi istnieje i jest ważnym czynnikiem polityki kościelnej. Pisarz katolicki i niewątpliwie obeznany z prądami, panującymi w Watykanie, p. Wojciech Dzieduszycki, w niedawno wydanej swej książce [1]) w nieco karykaturalnej postaci przedstawia, jak współczesna kwestya państwa kościelnego w umyśle niektórych dostojników Kościoła połączyła się z odwiecznymi planami possewinowskimi. Oto barbarzyńska, ale młoda i potężna Rosya powali Niemcy, dotrze do Włoch i wzorem Karola Wielkiego car jej przyjmie z rąk papieża koronę cesarza rzymskiego, w zamian za uznanie jego zwierzchnictwa duchownego i zapewne przywrócenie władzy świeckiej papieża. Mrzonki te, z któremi zresztą zupełnie stanowczo rozprawia się sam wymieniony tutaj pisarz, wyjaśniają nam poniekąd tę uprzedzającą życzliwość, jaką okazywała kurya względem tak zaciętego wroga katolicyzmu, jakim był i jest rząd carski.

Politycznym przeciwnikiem kardynała Rampolli, zwolennika Rosyi i Francyi był kardynał Vanutelli, zwolennik trójprzymierza. Grupa Rampolli okazała się liczniejszą i były sekretarz stanu, jak się zdaje, blizki był otrzymania $^2/_3$ części głosów, które potrzebne są do ostatecznego wyboru. W chwili, kiedy ważyły się szale, zadecydowało *veto*, które przeciw wyborowi Rampolli za pośrednictwem jednego z kardynałów austryackich założył cesarz Franciszek Józef. Sam fakt protestu ze strony Austryi nie spotkał się nigdzie z zaprzeczeniem, potwierdziły go nawet dzienniki półurzędowe wiedeńskie; zachodzą jedynie pewne drobne różnice w opisie szczegółów. Gdy rozeszła się wiadomość, że tym kardynałem, który wniósł protest cesarza austryackiego, był biskup krakowski Puzyna, niektóre z naszych pism zrobiły mu zarzut, że dla interesów austryackich, a właściwie ukrywających się za nimi niemieckich uchybił obowiązków dostojnika Kościoła i Polaka. W zapale rzeczone pisma o Rampolli odzywają się, jak o wymarzonym z naszego

---

[1]) Mesyanizm polski a prawda dziejów. Odbitka z *Przeglądu polskiego*. Kraków 1902.

stanowiska kandydacie na najwyższego zwierzchnika Kościoła. Jednocześnie *Nowoje Wremia* oznajmia, że rząd austryacki zdobył się na protest pod naciskiem Polaków, niechętnych byłemu sekretarzowi stanu. Pomijając kwestyę, czy odpowiednią rzeczą z punktu widzenia kościelnego było dla kardynała przyjmować na siebie rolę pełnomocnika rządu austryackiego, pomijając również kwestyę pobudek osobistych, które biskupa krakowskiego do misyi tej skłoniły, możemy zapytać, jak się ta sprawa przedstawia z punktu widzenia naszych interesów?

Papież polityk byłby dla nas najmniej pożądanym. Jako taki musi się on wiązać z pewnymi rządami, i to na zasadzie *do ut des*, która jak wiadomo jest zasadniczem prawidłem wszelkiej polityki. My do dania mamy mało albo nic zgoła, nie z nami więc sprzymierzać się może papież polityk, ale raczej z naszymi wrogami, których silne państwa mogą zamiarom politycznym kuryi pomódz albo zaszkodzić. Jeżeli chodzi naprzykład o kwestyę państwa kościelnego, to największe znaczenie dla kuryi rzymskiej mieć musi poparcie tych państw, które są najpotężniejsze, nie zaś tych, które najbardziej oddane są kościołowi katolickiemu. Dla nas tedy najbardziej pożądanym jest papież, który interesy Kościoła opiera przedewszystkiem na wierzących masach, nie zaś na sztuce dyplomatycznej. Musi on pieczę o interesy katolicyzmu rozciągać wszędzie, najwięcej zaś tam, gdzie są one najbardziej zagrożone. Właściwie, jeżeli chodzi o interesy katolicyzmu, Watykanowi potrzebne są tylko poprawne stosunki z rządami, nie zaś ich poparcie; jego siła dzisiaj zwłaszcza, wobec zdemokratyzowania całej Europy, spoczywać musi w masach ludności, przywiązanych do swojego wyznania.

Jeżeli wierzyć można dość jednozgodnie ustalonej w prasie europejskiej opinii, Pius X będzie takim właśnie papieżem. Wybór jego o wiele dla nas musi być sympatyczniejszy, niż byłby wybór kardynała Rampolli. Co innego, gdyby wybierać należało między politykiem germanofilem a politykiem rusofilem. I w pierwszym, i w drugim wypadku polityka kuryi, dążąc do pozyskania sobie rządu niemieckiego albo rosyjskiego, starałaby się na ziemiach naszych oddzielić katolicyzm od polonizmu i wyjednać od rządu pewną sumę życzliwości jedynie dla pierwszego. Jest to o wiele łatwiejsze zadanie w zaborze pruskim, bo w cesarstwie niemieckiem wyznanie nie tak ściśle związane jest z na-

rodowością, jak pod rządami cara. Istnieje potężna partya centrowa, która katolicyzmu broni bardzo energicznie, a również energicznie zaczyna w czasach ostatnich zwalczać polonizm, podając coraz wyraźniej rękę protestanckiemu rządowi pruskiemu. List kardynała Koppa w sprawie wyborów na Ślązku daje pewne przybliżone wyobrażenie o tem, co mogłoby nastąpić w całym zaborze pruskim, gdyby katolicy germanizatorzy mogli być pewni poparcia z Rzymu. Obok biskupa hakatysty we Wrocławiu, moglibyśmy otrzymać hakatystę na stolicy arcybiskupiej w Poznaniu, o czem niewątpliwie marzy obecnie rząd niemiecki. Jeżeli przed laty kilkunastu nominacya Dindera wywołała silne rozgoryczenie w społeczeństwie polskiem, to dzisiaj wobec zmienionych a bardzo zaostrzonych stosunków byłaby ona obrazą i krzywdą dla całego narodu polskiego i musiałaby wywołać silną reakcyę, z której skorzystałyby przedewszystkiem prądy nieprzyjazne Kościołowi.

Inaczej rzecz przedstawia się w zaborze rosyjskim. Tam siłą rzeczy polonizm tak jest związany z katolicyzmem, że ciosy rządu wymierzane w jeden z nich, trafiają nieuchronnie w drugi. Moskale nam tłómaczą nieraz, że katolicyzm tylko stoi na przeszkodzie porozumieniu słowiańskiemu, nawet od czasu do czasu propagują myśl ufundowania nam «Kościoła narodowego», któryby nas od Rzymu oderwał. Jednocześnie dyplomacya ich w Rzymie zapewnia kuryę, że jedynym winowajcą w sprawie prześladowań religijnych w Rosyi jest polonizm, który pod pozorem obrony religii walczy o swe cele narodowe. Sami Moskale toczą między sobą polemiki o to, co wypada robić, ażeby możliwie szybką drogą sprowadzić Polaków do wspólnego mianownika «słowiańskiego», czy należy wpierw *„raskatoliczyt'* (pozbawić katolicyzmu) *Polszu*, czy *raspoliaczyt'* (odebrać polskość) *katolicizm*“.

Z przyczyny właśnie tego ścisłego związku, łączącego w całym zaborze rosyjskim polonizm z katolicyzmem, najbardziej przychylna Rosyi polityka kuryi nie może iść na drodze pojednawczej zbyt daleko, jeżeli nie chce pomagać rządowi do zgniecenia samego katolicyzmu. Każdy, kto ma pojęcie o stosunkach litewskich wie np., że zrusyfikowanie nabożeństwa i służby kościelnej w bardzo szybkiem tempie prowadzić musiałoby ludność do prawosławia. Nawet w Królestwie rząd nie cofa się przed otwartą propagandą prawosławia pod różnemi

postaciami, jednocześnie zaś stara się możliwie obniżyć poziom umysłowy i moralny naszego duchowieństwa. Jeżeli więc nawet przedstawiciele wyższego duchowieństwa w zaborze rosyjskim ulegają czasami pokusie oddzielania obowiązków narodowych od kościelnych i zrezygnowania z pierwszych, aby tylko dla ostatnich zyskać tolerancyę rządu, to niezadługo logika rzeczy pokaże im, jak np. biskupowi Zwierowiczowi, że uganiają się za chimerą.

Z tych względów, mimo całego niebezpieczeństwa dla nas rusofilskiego kursu polityki papieskiej, wolelibyśmy go bodaj, niż kurs germanofilski, który w obecnej chwili groziłby nam jeszcze poważniejszemi niebezpieczeństwami.

W zupełnej zgodzie z naszymi interesami narodowymi w obu zaborach mogą być tylko rządy czysto kościelne, dbające jedynie o interesy katolicyzmu, rządy uznające w teoryi i w praktyce równouprawnienie narodowe, słowem rządy głowy Kościoła katolickiego, nie zaś pretendenta do tronu państwa kościelnego lub sprzymierzeńca politycznego tych czy innych mocarstw.

S. Ko—wicz.

LISTY WARSZAWSKIE.

Warszawa w sierpniu.

Nowy zamach na Towarzystwo Kredytowe Ziemskie. Czertkow jako polityk. Czynownictwo rosyjskie w Polsce i rząd petersburski.

Oddawna już w naszych sferach ziemiańskich mówiono o opracowywanym w biurze Czertkowa projekcie zniesienia dyrekcyj szczegółowych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Jak wiadomo, Towarzystwo to oprócz dyrekcyi głównej w Warszawie ma 10 dyrekcyi szczegółowych, złożonych z wybieralnych radców, w każdej z gubernij Królestwa. Otóż, wychodząc z faktu, że analogiczne instytucye finansowe gdzieindziej nie posiadają podobnej organizacyi prowincyonalnej, ze względu jakoby na oszczędność generał-gubernator proponuje zniesienie tych filij.

Właściwie idzie tu o co innego. Towarzystwo Kredytowe

jest nietylko instytucyą finansową — jest ono także w swoim rodzaju instytucyą obywatelską. W kraju, którego mieszkańcy posiadają pewną, tradycyjną kulturę życia publicznego, a który pozbawiony został wszelkich praw, instynkty publiczne ludzi muszą szukać dla siebie ujścia. Ziemiaństwo nasze, pochodząc w głównej masie ze szlachty, która rządziła niegdyś państwem, posiada pewną wewnętrzną organizacyę duchową, której żadne przepisy policyjne znieść nie mogą. Wobec braku życia politycznego i szerszych jego zadań ta organizacya stała się bardzo luźną, ale bądź co bądź t. zw. szlachta nasza czuje się w pewnej mierze jednem ciałem, ma poczucie solidarności stanowej, resztki poczucia obowiązku uczynności sąsiedzkiej, ma w pewnych granicach swoje życie wewnętrzne, swych ludzi wybitnych lub popularnych i t. d. Naturalna rzecz, iż w jedynej większej instytucyi publicznej, jaka po szeregu pogromów pozostała, te instynkty zbiorowe naszego ziemiaństwa znalazły dla siebie skromne ujście. Wybory do Towarzystwa są nietylko czynnością specyalną instytucyi finansowej, ale ogólniejszą czynnością obywatelską, dając sposobność wyróżnienia ludzi, uważanych za wybitniejszych, wyrażenia im swego uznania, zaufania i t. d. Ma to swoje dobre i swoje złe strony. Dobrem jest o tyle, o ile dobrem jest wszelkie życie zbiorowe, jako czynnik kształcący w ludziach instynkty obywatelskie i zdolność do życia publicznego. Złem jest, bo dając szlachcie naszej surogat jakiejś organizacyi publicznej, pewnej formy bez treści (po za finansową stroną przedmiotu), przywiązuje ją do tej czczej formy, wywołuje nadmierną dbałość o nią i podtrzymuje tradycyjną beztreściwość życia szlacheckiego. Przy całym tonie obywatelskim, panującym w Towarzystwie, przy całej względności, z jaką traktuje się stowarzyszonych w sprawach kredytowych, w żadnej może instytucyi nie zagnieździł się do tego stopnia duch lojalizmu i tchórzliwości politycznej, nigdzie w takiej mierze nie popierano objawów wiernopoddańczych i nigdzie tak nie przeciwdziałano wszelkiej żywszej myśli obywatelskiej, jak w Towarzystwie Kredytowem.

Właściwie, każdy rozumny rząd uważałby tę instytucyę w dzisiejszej jej postaci za nadzwyczaj pożyteczną. Pewnych, minimalnych instynktów obywatelskich wytępić w naszej szlachcie nikt nie zdoła, więc lepiej dla rządu, że mają one ujście w tak niewinnej politycznie instytucyi obywatelskiej samopo-

mocy, niż gdyby miały szukać dla siebie dróg innych, zwłaszcza, że dbałość o samą instytucyę i ewolucya polityczna, jaka się odbyła w naszej szlachcie, doprowadziły ją do takiego zaniku aspiracyj politycznych, jaki dziś widzimy przedewszystkiem w łonie jej przewodników, wysuniętych na czoło w Towarzystwie Kredytowem. Czertkow wszakże należy do administratorów moskiewskich starej daty: zdrewniały mózg jego nie jest zdolny zrozumieć zmian odbywających się w społeczeństwie naszem. Nie rozumie on naszego życia i nienawidzi je we wszystkich jego przejawach. «*Szlachtycz*» pozostanie dla niego zawsze niebezpiecznym rewolucyonistą, który schodzi się z sąsiadami po to tylko, by mówić o powstaniu, a jeżeli ma jakie pieniądze publiczne w ręku, to zawsze je gotów oddać na zakupno karabinów. Wobec objawów życia polskiego nie zadaje on sobie pytania, w jakim stosunku pozostają one do interesów politycznych rządu, ale radby je zniszczyć za samą ich polskość! Takim ludziom musi być solą w oku Towarzystwo Kredytowe, jako wielka bądź co bądź, czysto polska instytucya. Gdyby mógł, zniszczyłby ją zupełnie, nie pytając, jak wyjdą na tem kasy podatkowe państwa; ponieważ to jest niemożliwe, więc stara się je przynajmniej sprowadzić do typu instytucyj finansowych i odebrać mu wszelki charakter obywatelski. Krokiem na tej drodze jest zniesienie prowincyonalnej organizacyi Towarzystwa w postaci dyrekcyj szczegółowych, które dziś już można uważać za pewne.

Nie uważamy wypadku tego za wielki cios polityczny, jakkolwiek wiemy, że wszelkie zniesienie czy okrojenie jakiejkolwiek instytucyi polskiej jest nowym zamachem na naszą narodową samoistność. Z drugiej strony, uznajemy w takiej mierze potrzebę organizacyi społeczeństwa we wszystkich dziedzinach, że i tę organizacyę, jakkolwiek ma ona charakter stanowy, jednostronny i gdy idzie o sprawy szersze — bardzo powierzchowny, uważamy za ważny i pożyteczny czynnik naszego życia zbiorowego. Chociaż tedy dezorganizowanie przez rząd żywiołów zachowawczych i wiernopoddańczych w naszem społeczeństwie tylko przyśpieszy jego ewolucyę w kierunku dla nas pożądanym, uważamy za niepomyślne wszelkie ograniczanie tych małych resztek jawnego życia obywatelskiego w naszym kraju, jakie jeszcze pozostały.

Na akt ten, z punktu widzenia interesów polityki rządo-

wej nieuzasadniony, należy patrzeć jako na jeden więcej przejaw barbarzyńskiego niszczycielstwa, działającego na naszym gruncie oddawna, mającego ongi klasycznego przedstawiciela w Murawjewie-Wieszatielu, dobrze w swoim czasie reprezentowanego przez Hurkę, a obecnie nie gorzej przez Czertkowa.

Gdy się przyglądamy działalności ostatniego, obok nienawiści do Polaków i skłonności niszczycielskich nie mającej widocznie żadnego pozytywnego planu, zapytujemy siebie: jaki jest obecnie program polityczny rządu rosyjskiego na gruncie polskim? Bo za rządów Szuwałowa, a zwłaszcza Imeretyńskiego polityka rosyjska zdawała się wchodzić na nowe drogi, w zrozumieniu, że dawny jej punkt oparcia, leżący w ciemnocie i bierności politycznej ludu, usuwa się i że to nakazuje szukać oparcia w innych żywiołach polskiego społeczeństwa. Ta nowa polityka, zwłaszcza w wykonaniu Imeretyńskiego, człowieka gładkiego i obdarzonego iście wschodnią chytrością, wyrządziła nam wielkie szkody, dezorganizując moralnie społeczeństwo, przenęcając na stronę rządu mniej pewne jego żywioły. Dziś widzimy odwrót od niej i powrót do tradycyj hurkowskich. Czyżby się rząd do swoich dróg rozczarował?... Zdaje się, że nie tu leży przyczyna odwrotu.

Trzeba pamiętać, że wprowadzanie w życie nowych metod politycznych wymaga znacznego wysiłku na miejscu i bacznej uwagi ze strony władz centralnych. Trzeba mieć plan, zdolnych i energicznych wykonawców, trzeba każdy krok oceniać i kontrolować. Imeretyński, jako taki przedstawiciel nowej metody, napotykał wielkie przeszkody nietylko w skomplikowanym charakterze kwestyi polskiej i zachowaniu się naszego społeczeństwa, ale także w stanowisku moskiewskiego czynownictwa, którego tradycyjne skłonności i nałogi nie mogły się pogodzić z wyrafinowaną polityką wielkorządcy. «*Parsziwyj kniaź*», jak go nazywano pieszczotliwie wśród czynowników, był znienawidzony równie dobrze przez nich, jak przez jaśniej patrzących na rzecz Polaków, rozumiejących niebezpieczeństwo jego polityki. Moskiewski «*diejatiel*» lubi sytuacye proste: niszczyć, tępić, burzyć, kraść, donosić — oto program, nad którym nie potrzeba sobie łamać głowy, kierunek, w którym miło jest i łatwo się odznaczać, nie narażając się na błędy. Kto Polak, ten wróg — i basta. Tymczasem zakaukazki książę kazał politykować, jednych gnębić, innych kokietować, tu do-

puszczać się umiejętnie gwałtu — tam «przestrzegać legalności», tu niszczyć — tam tolerować. Ta zabawa nie mogła się podobać umundurowanym stepowcom: zawiele wysiłku, zawiele pracy dla państwa, a zamało korzyści dla siebie. Stąd nienawiść...

Po śmierci Imeretyńskiego, który pod koniec sam się już znacznie zniechęcił do swych planów, trudno było znaleźć człowieka, któremuby można było podobnie skomplikowane a jednocześnie wymagające wielkiej energii zadanie powierzyć. Zresztą człowiek możeby się znalazł. Przynajmniej generał Puzyrewskij nie byłby zdaje się od tego, żeby mu tę misyę powierzono. A to człowiek, jak się zdaje, wcale zdolny i, pomimo polskiego w części pochodzenia, obdarzony niemałą perfidyą we wschodnim stylu. Ale na to trzebaby, żeby w Petersburgu ktoś myślał o tem i nad kierunkiem polityki czuwał. Tymczasem tam położenie się zmieniło.

Dziś w Petersburgu nie mają czasu wypracowywać planów polityki polskiej, bo we własnym domu się pali. Kierownicy nawy państwowej rosyjskiej dziś mają zawiele powodów do zdenerwowania w wewnętrznych rozruchach, zaburzeniach, konfliktach władzy z wszystkiemi klasami ludności, zawiele muszą myśleć nad sposobami wyjścia z trudnego położenia, jakie im wewnętrzny kryzys zgotował, położenia tem trudniejszego, że łączy się z poważnemi zawikłaniami w polityce zewnętrznej, ażeby mogli uwagę swą dłużej zatrzymywać nad stosunkami polskimi i umysł swój wysilać nad szukaniem w tej dziedzinie dróg nowych. Najprostszem wyjściem w takim wypadku jest nie bawić się w reformy, ale puścić machinę, żeby pracowała według swej ustalonej budowy.

W Petersburgu wiedzą dobrze, że czynownictwo w Królestwie — to żywioł pewny, z ustalonym charakterem, żywioł, który nie zboczy z drogi kradzieży, łupieztwa, niszczycielstwa, z drogi prześladowania wszystkiego, co polskie. Wiedzą, że czynownictwo to najlepiej może pracować według ustalonej metody. Stąd ów powrót do tradycyj hurkowskich, stąd postawienie u steru rządów krajowych Czertkowa, który ze względu na swe ograniczenie umysłowe, sołdacką szorstkość i znaną złośliwość w stosunkach z Polakami, z którymi już na Rusi dawniej miał do czynienia, najbardziej się nadaje na naczelnika brutalnych rządów czynowniczych. Właśnie najodpowiedniejszy

jest w tym wypadku taki stójkowy w najwyższej randze wojskowej.

Tak tedy rząd rosyjski obecnie myśli o tych, którzy mu się ciągle przypominają, a więc o samych Rosyanach, wreszcie o żydach, którymi, jak widzieliśmy, bardzo się zajął w Kiszyniowie. U nas cicho, nikt nie zakłóca porządku, więc nas można pozostawić organom miejscowym, mianowicie czynowniczej bandzie z generałem-stupajką na czele.

Jest w tem dobra dla nas strona. Nie potrzebując tracić energii na przeciwdziałanie dyplomatycznym zabiegom wielkorządcy, jak to było za rządów Imeretyńskiego, nie potrzebując zwalczać w naszem społeczeństwie powołanej przez politykę rosyjską do życia partyi wiernopoddańczej, która obecnie nie ma możności swego istnienia manifestować, możemy tem lepiej prowadzić swą pracę pozytywną, polegającą przedewszystkiem na uświadomieniu narodowem ludu i kształceniu myśli politycznej inteligentnego ogółu. Ruch nasz właściwie silnie się rozwinął w kraju dopiero za rządów Czertkowa, a system jego znacznie nam ułatwił zadanie. Należy się spodziewać, że wtedy, gdy rząd uzna za stosowne znów się zabrać do robienia wyłomów w szeregach polskich przy pomocy jakiegoś nowego Imeretyńskiego, zastanie nas dość silnymi i spójnymi, ażeby polityka jego okazała się bezskuteczną.

Niewątpliwie, wśród czynownictwa moskiewskiego w naszym kraju znajdują się żywioły czynne i myślące, które bacznie śledzą ewolucyę pojęć w naszem społeczeństwie i pracują nad zorganizowaniem ze swej strony przeciwdziałania, niewątpliwie coraz więcej spotykamy tam w ostatnich czasach objawów akcyi samorzutnej, prowadzonej po za sferą obowiązków urzędowych, ale usiłowania te nie wyrządzą nam wielkiej krzywdy, jeżeli tej akcyi coraz silniej przeciwstawiać będziemy zbiorową akcyę społeczeństwa.

Przyjdzie czas, kiedy stosunki polityczne w naszym kraju skutkiem rosnącego dziś szybko wśród ludu ruchu tak się zajątrzą, iż rząd rosyjski zrozumie, że system rządzenia krajem przy pomocy mózgów czynowniczych niezawsze jest najbezpieczniejszy. Mamy nadzieję, że wtedy jedyna droga do zmiany systemu będzie drogą ustępstw na rzecz społecznych i narodowych dążeń Polaków. Może być, że wiele nas jeszcze będzie kosztowało wskazanie rządowi tej drogi, że niemało ofiar, nie-

mało poświęcenia osobistego będzie do tego potrzeba, ale dziś już jest niewątpliwe, że naród nasz będzie miał dość sił moralnych, by to poświęcenie wśród siebie znaleźć.

Ignotus.

SPRAWY BIEŻĄCE.

KONUNIKAT KOMISYI NADZORCZEJ SKARBU NARODOWEGO.

W sprawie rozwiązania stosunku depozytowego między Skarbem Narodowym a Muzeum Narodowem w Rapperswilu Komisya Nadzorcza Skarbu rozesłała następujący komunikat:

«Fundusze Skarbu Narodowego polskiego z dotychczasowego w Muzeum Narodowem Polskiem depozytu w Rapperswilu wycofane zostały. Komisya Nadzorcza poczuwa się do obowiązku usprawiedliwienia wobec opinii publicznej polskiej kroku tego.

W latach ostatnich Skarb Narodowy polski stał się przedmiotem szczególnej rządów pruskich troskliwości, manifestującej się we wszystkich niemal procesach politycznych, wytaczanych w zaborze pruskim szkolnej młodzieży polskiej, oraz ludziom dojrzałym. Troskliwość ta odnosiła się zrazu do wstrętnej zaborcom Polski idei, której instytucya skarbowa jest wyrazem, nie zaś do instytucyi samej pozostającej po za dosiągłością ramion tak pruskiej jako też moskiewskiej policyi. Od roku jednak mniej więcej pojawiać się, pod postacią to dopytywań, to wzmianek dziennikarskich, to inaczej, poczęły symptomaty, świadczące o wzrastającem zaciekawieniu się do Skarbu Narodowego polskiego policyj mocarstw zaborczych. Do tego dołączyły się ostrzeżenia urzędowych szwajcarskich osobistości, doradzające mieć się ze Skarbem Narodowym na baczności wobec możliwych ze strony państw, co Polskę rozebrały, a ze Szwajcaryą w stosunkach przyjacielskich pozostają, reklamacyj — reklamacyj, oskarżających instytucyę skarbową polską o zagrażające spokojowi tych państw knowania.

Nie wiemy, jakieby oskarżenia podobne następstwa wywołać mogły, przypuszczać należy, że najbezpośredniejsza onych forma wyraziłaby się: wzięciem pod sekwestr funduszów muzealnych, stypendyalnych i skarbowych i powstrzymaniem na czas jakiś — na lat parę może — użytkowania ich na rzecz instytucyj odpowiednich. Sprawiłoby to niemałą użyczającej nam gościnności Szwajcaryi przykrość, nam zaś i przykrość wielką, i szkodę ogromną. Odwrócenie przeto w porę tego następstwa możliwego nakazał nam obowiązek stróżów dobra publicznego.

Motywy powyższe spowodowały niezwłoczne funduszów skarbowych z depozytu muzealnego wycofanie i ulokowanie ich w innem bezpiecznem miejscu.

Spowodowały one przytem powzięcie postanowień następujących:

1. pomnożenie, celem wzmożenia dozoru funduszów skarbowych i odpowiedzialności za nie, liczby członków Komisyi Nadzorczej z pięciu do dziewięciu, na co wybranych zostało dwóch: dr. Leonard Tarnawski z Przemyśla i profesor Wacław Gasztowtt z Paryża;

2. ograniczenie się w tegorocznem (od 1 stycznia 1903 do 1 stycznia 1904) sprawozdaniu do wykazu składek, jakie w ciągu roku wpłyną;

3. nienaruszenie w niczem w obowiązującej obecnie ustawie punktów zasadniczych, tyczących się celu i zadania, dla których Skarb Narodowy założonym został i niezmienianie w niczem użytkowania z funduszów rozporządzalnych.

Warunki, jakie wycofanie z depozytu muzealnego funduszu skarbowego wytwarzają, wkładają na Komisyę Nadzorczą obowiązek obmyślenia w ciągu roku zmian administracyjnych, wprowadzających ulepszenia techniczne.

Na zakończenie komunikatu niniejszego zawiadamiamy współobywateli o znacznem w ciągu roku bieżącego powiększeniu funduszu skarbowego.

Za Komisyę Nadzorczą: Podpisy: *Z. Miłkowski.* prezes-sekretarz Komisyi Nadzorczej Skarbu Narodowego polskiego, *E. Korytko*, wiceprezes.

Zurych, 18 sierpnia 1903».

REZOLUCYA POSŁÓW RUSKICH.

Posłowie ruscy z Galicyi i Bukowiny do Rady państwa i sejmów krajowych uchwalili na wspólnym zjeździe rezolucyę, którą ogłosili następnie w pismach ruskich. Rezolucyę tę uważać należy za manifest wszystkich kierowników polityki ruskiej bez względu na odcienie (brak pod nią podpisów tylko 4 posłów ruskich), jest ona tedy urzędowym tej polityki wyrazem, a ze względu na ważną chwilę, w której się ukazała, pozyskuje znaczenie dokumentu niejako historycznego, na którym w przyszłości przyjdzie nieraz się oprzeć. Przytaczamy ją tu w całości:

«Ostatnie wypadki polityczne stworzyły dla całej monarchii austro-węgierskiej bardzo poważną i w następstwach swoich niepewną sytuacyę. W chwili, w której rozstrzygają się losy monarchii, nie mogą pozostać obojętnymi ludy, wchodzące w skład monarchii austryackiej, nie mogą więc pozostać obojętnymi także i Rusini, którzy swą liczbą zajmują czwarte miejsce wśrod ośmiu ludów austryackich. Ruscy posłowie do Rady państwa i Sejmów: galicyjskiego i bukowińskiego, jako przywódcy i reprezentanci całego narodu ruskiego w Austryi, uważali przeto za swój obowiązek patryotyczny, tak w interesie państwa, jakoteż w interesie ich narodu, zaznaczyć stanowisko narodu ruskiego wobec tej sytuacyi. Czynią to, ogłaszając uchwaloną na posiedzeniu z dnia 15 sierpnia b. r. następującą deklaracyę:

«Naród ruski w Austryi od chwili, kiedy go zrządzenie losu połączyło z monarchią austryacką, ustawicznie składał dowody, iż mu leżą na sercu integralność, siła i znaczenie monarchii. To jego stanowisko stało i stoi w ścisłym związku z nadzieją i żądaniami, aby na podstawie konstytucyi austryackiej zabezpieczone były jego obywatelkie narodowe prawa narodu ruskiego, aby mu daną była możliwość wszechstronnego rozwoju i aby na odwiecznej swojej ziemi zająć miejsce, któreby odpowiadało jego prawom historycznym i jego liczebnej sile, która w Austryi wynosi poważną cyfrę $3^1/_2$ miliona, w całej monarchii 4 miliony mieszkańców.

«Tym uprawnionym życzeniom i niezaprzeczonym prawom narodu ruskiego w Austro-Węgrzech wcale nie odpowiada stan faktyczny. Polityka rządów austryackich, nie uznających znaczenia i stanowiska narodu ruskiego wobec państwa i monarchii, zepchnęła naród ruski na stanowisko narodu niższej rangi i wydała go w Galicyi pod panowanie polskie, na Bukowinie zaś, na polu politycznem, pod supremacyę Niemców, a na polu kościelnem pod supremacyę Rumunów.

«Wskutek tego, szczególnie w Galicyi, zapanował wobec Rusinów, system zupełnego bezprawia; tam dla Rusinów przestały istnieć konstytucyjne prawa, władze krajowe zaś udaremniają dla nich systematycznie a w ostatnich czasach powstrzymano korzystanie z najważniejszych praw, wypływających z ustaw konstytucyjnych.

«Narodowi ruskiemu nie przyznaje się żadnych środków na cele ekonomicznego podniesienia i kulturalnego rozwoju, ba, nawet wszystkie ich usiłowania samopomocy i samoistnego rozwoju bywają tłumione; minimalne i nieznaczne prawa, jakie przyznano językowi ruskiemu, są bezkarnie deptane; od współudziału w administracyi tych krajów są Rusini zupełnie wykluczeni, w innych urzędach do wyższych posad nie bywają dopuszczani. Wogóle są zmuszani do wyrzekania się swej narodowości tak, że dziś, mianowicie w Galicyi, dla Rusinów faktycznie istnieje stan wyjątkowy.

«Ucisk i ubezwładnienie narodu ruskiego w Galicyi przez austryackie rządy, na korzyść panującego żywiołu polskiego, wyrodził nawet w kołach polityków polskich dążenie nietylko do rozszerzenia autonomii kraju, lecz także do wyodrębnienia Galicyi, ewentualnie i Bukowiny od Austryi i przemiany tych krajów w państwo osobnego kompleksu, z Austryą tylko unią związane. Program ten dziś stał się głównym postulatem narodu polskiego i w tym kierunku rozwiniętą jest w kraju bardzo żywa, nie przebierająca w środkach agitacya.

«Tę politykę rządów austryackich, sprzeciwiającą się sprawiedliwości i równouprawnieniu wszystkich ludów w państwie, niezgodną z zasadami konstytucyi, błędną i w skutkach swych szkodliwą, dającą w poszczególną krajach państwa jednemu narodowi nad drugim narodem przewagę, z którą związany jest ucisk narodów upośledzonych na rzecz narodu panującego, a szczególnie, jak to ma miejsce w Galicyi, ucisk narodu ruskiego przeciwny idei państwowej i interesom państwa, my posłowie ruscy uważamy za główną przyczynę dzisiejszej tak opłakanej sytuacyi politycznej w państwie austryackiem, za główną przyczynę rozluźnienia i osłabienia stosunków między narodami a państwem, oraz za główną przyczynę oziębienia się uczuć, które dla istnienia i przyszłości państwa są niezbędne.

«Wobec tych stosunków uważamy w interesie państwa za konieczne:

1. Przeprowadzenie w państwie reformy na podstawie autonomii narodów tak, aby przy zabezpieczeniu załatwiania wspólnych interesów przez uporządkowany parlament centralny i silny bezstronny rząd centralny, każdemu narodowi dano prawo samoistnego stanowienia we wszystkich sprawach narodowych i kulturalnych, z wykluczeniem wszelkiego majoryzowania jednego narodu przez drugi, a w każdym razie, aby wydaną została ustawa narodowościowa, jako uzupełnienie do istniejących ustaw konstytucyjnych, którąby zapewniała każdemu narodowi nienaruszalność jego najważniejszych praw narodowych i kulturalnych. Równocześnie imieniem całego narodu ruskiego jak najbardziej stanowczo protestujemy przeciwko tak dla interesów państwa, jak i innych powodów szkodliwemu projektowi wyodrębnienia Galicyi, ewentualnie i Bukowiny i utworzenia z nich samoistnej organizacyi na podstawie autonomii krajów, przyczem już z góry oświadczamy, że wszelkie usiłowania, dążące do urzeczywistnienia takiego projektu, spotkają się z bezwzględną, do ostatnich granic idącą obroną całego ruskiego narodu w Austryi.

2. Wprowadzenia reformy wszystkich ordynancyj wyborczych na podstawie powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego prawa głosowania.

3. Ścisłego przestrzegania praw konstytucyjnych i obywatelskiej wolności, przestrzegania zupełnej niezawisłości sądów i usuwania w razie potrzeby nawet przy użyciu najsurowszych środków, samowoli w administracyi.

4. Jak najszybszego poparcia kulturalnych i ekonomicznych potrzeb narodu ruskiego w Austryi, którego ten oddawna się domaga i którego potrzebuje do swego pomyślnego rozwoju. Wymienić tu należy przedewszystkiem żądanie na polu szkolnictwa przez założenie odpowiedniej ilości szkół ruskich wszelkich kategoryi i wszelkich stopni w Galicyi i na Bukowinie; uwolnienie prawosławnych Rusinów na Bukowinie od hegemonii rumuńskiej na polu kościelnem; dalej żądanie uregulowania rzek w Galicyi wschodniej i na Bukowinie; zorganizowanie kredytu rolnego; poczynienia ułatwień w nabywaniu ziemi dla włościan ruskich; uregulowanie wychodztwa i wszechstronnej ochrony pracy robotników.

5. Uregulowania stosunku Austryi do Węgier w ten sposób, aby łączność między temi dwoma państwami była stałą, a więc bez peryodycznego odnawiania ugody i opartą na podstawie sprawiedliwej, albo żeby między obu państwami istniała tylko unia personalna. Odnowienie ugody w formie, jaka dziś istnieje i w jakiej przedłożoną została obu parlamentom, przyniesie tylko niekorzyść Austryi i monarchii, nie zabezpieczając nawet dalszej łączności obu jej połów i wyjdzie tylko na wyłączną korzyść Węgier a w szczególności żywiołu madyarskiego, który bezwzględnie uciska inne narody w państwie węgierskiem, jak: Rumunów, Serbów, Chorwatów, Niemców, Słowaków i Rusinów.

«To jest nasze słowo wśród dzisiejszych stosunków, to są nasze żądania, których nie stawiamy jako partykularystyczne żądania jednego narodu, lecz w uwzględnieniu stanowiska i interesów państwa i jego ludów. Spełniliśmy swój obywatelski obowiązek. Obowiązkiem kierowników państwa i jego miarodajnych czynników w tej ważnej chwili jest zejść z drogi wygodnego oportunizmu, która daje tylko chwilowe korzyści, a wstąpić na drogę sprawiedliwości, jedyną, która państwom i ludom może przynieść zbawienie.

Lwów, 15 sierpnia 1903.

Aleksy *Barabasz*, poseł do Sejmu galicyjskiego; Aleksander *Barwiński*, poseł do Rady państwa i Sejmu galicyjskiego; ks. Teodor *Bohaczewski*, poseł do Sejmu gal.; Mikołaj *Wassilko*, poseł do Rady państwa i Sejmu bukowińskiego; dr. Emil *Gładyszowski*, poseł do Rady państwa i Sejmu gal.; Michał *Glidziuk*, poseł do Sejmu gal.; Józef *Huryk*, poseł do Sejmu gal.; dr. Michał *Korol*, poseł do Rady państwa i Sejmu gal.; dr. Andrzej *Kos*, poseł do Sejmu gal.; Teodor *Lewicki*, poseł do Sejmu buk.; ks. Wiktor *Mazikiewicz*, poseł do Sejmu gal.; dr. Andrzej *Mogilnicki*, poseł do Sejmu gal.; dr. Eugeniusz *Oleśnicki*, poseł do Sejmu gal.; Dymitr *Ostapczuk*, poseł do Sejmu gal.; Hieronim *Pihulak*, poseł do Rady państwa i Sejmu buk.; Julian *Romańczuk*, poseł do Rady państwa z Galicyi; Antoni *Staruch*, poseł do Sejmu gal.; dr. Stefan *Smal-Stocki*, poseł do Sejmu buk.; Bazyli *Jaworski*, poseł do Rady państwa z Galicyi.

Dokument ten nie wymaga na razie szerokich komentarzy. Jasno i w zupełnie stanowczej formie jest w nim sformułowana zasada bezwzględnej walki z polskiemi usiłowaniami politycznemi przy oparciu się o Wiedeń i o biurokracyę austryacką. Zasada autonomii narodowości, znana już z deklaracyj socyalistycznych i przeciwstawiana autonomii krajów, dopóki nie będzie wyjaśniona bliżej, musi być uważana za fikcyę, a w każdym razie pozostanie nową formą uznania centralizmu w przeciwstawieniu do isotnej autonomii. W szczególności zasługuje tu na uwagę bezwzględnie wrogie stanowisko wobec wysuwanego przez nas programu usamodzielnienia Galicyi.

Jeszcze będziemy mieli nieraz sposobność powrócić do tego dokumentu, dziś tylko zaznaczymy, że w chwili obecnej na rezolucyę tę pa-

trzeć należy, jako na środek pomocniczy dla tych żywiołów biurokratycznych w Wiedniu które noszą się z zamiarami wzmocnienia centralizmu i stanowiska niemczyzny w Austryi przy pomocy odpowiednio przeprowadzonego powszechnego głosowania.

OPIEKA NAD UNITAMI.

W Królestwie rozchodzi się w licznych egzemplarzach odezwa następującej treści:

Rodacy!

Rząd rosyjski nie ustaje w dążeniu do zrusyfikowania i sprawosławienia Unitów. Zaniechano środków gwałtownych, nie świszczą nahajki nad grzbietami opornych, nie leje się krew, jak niegdyś przed kościołami Kroż i Pratulina, nie idą na wygnanie setki i tysiące, rozpoczęto natomiast pracę powolną pozyskiwania nowych owieczek dla cerkwi prawosławnej przy pomocy podstępu, dobroci i pieniędzy. Rząd wypracował i przeprowadza cały system, zmierzający bez rozgłosu i jawnych gwałtów do pozyskania Unitów dla kultury rosyjskiej i prawosławia. Pracują popi, bractwa prawosławne przy cerkwiach, szkółki cerkiewne, klasztory prawosławne i wszyscy Moskale, zamieszkujący miejscowości z ludnością unicką. Popi starają się pozyskać lud dobrocią i naśladownictwem obrządków religijnych w kościele katolickim praktykowanych. Organizują oni bractwa prawosławne, rozporządzające dziesiątkami tysięcy rubli i całym zapasem tendencyjnej literatury ludowej, zohydzającej katolicyzm i polskość, a propagującej prawosławie i kult moskiewszczyzny i cara. Bractwa te zajmują się budowaniem, upiększaniem i wspieraniem cerkwi, zakładają szkoły parafialne, utrzymują czytelnie bezpłatne, rozdają książki i pisma, krzyżyki i obrazy Świętych, przychodzą włościanom z pomocą w nieszczęśliwych wypadkach, wychowują w «duchu prawosławia i narodowości rosyjskiej» sieroty z małżeństw mieszanych i dzieci skradzione lub kupione od nieszczęśliwych rodziców, wysyłają wreszcie tysiące Unitów corocznie własnym kosztem do kijowskiej Ławry, aby tam zmyli z siebie ostatecznie ślady «łacinizmu». Bractwom pomagają skutecznie w pracy setki mnichów i mniszek z klasztorów w Jabłocznie, Leśnej, Wirowie, Teolinie, Radecznicy i Różanym Stoku. Działalność klasztorów tych skierowana jest nietylko do zaspokojenia potrzeb religijnych ludności, ale i ku szerzeniu kultury rosyjskiej. Przy nich istnieją ochronki, przytułki dla starców, szkoły z pensyonatami dla dorastającej młodzieży, szkoły rzemieślnicze, szpitale i ambulatorya. Zakonnice z klasztorów starają się pozyskać zaufanie i miłość okolicznej ludności, leczą darmo i rozdają lekarstwa, urządzają pogadanki w chatach włościańskich, przyczem rozdają obccnym tendencyjne broszury i książki.

Oporni Unici mają więc przeciw sobie rząd i zgraję czynowników, popów i mniszek, zbrojnych w środki pieniężne, płynące obficie z kas rządowych i we wszelkie zasoby kulturalnego oddziaływania. Pomimo to trzymają się wiary katolickiej z wytrwałością, graniczącą z bohaterstwem niemal. Cerkwie stoją pustkami, a lud garnie się do nielicznych kościołów, chrzty i śluby odbywają się potajemnie, a niejeden wędruje dziesiątki mil dla dopełnienia tych obrządków za kordonem. Lud cały znosi cierpliwie nieustanne prześladowania w gminie, w sądzie i w kościele.

Jednakże prawosławie robi ciągłe postępy, przenika ono za pośrednictwem szkoły w dusze dzieci i młodzieży, szerzy się śród służących w wojsku Unitów i wciąż mnożą się szeregi odszczepieńców,

co schyzmę wyznają. I tak się będzie działo nadal, jeśli zorganizowana misya prawosławia i kultury moskiewskiej nie spotka się z również zorganizowaną a stokroć potężniejszą, bo u siebie na własnej ziemi pracującą misyą katolicyzmu i polskości. Usiłowania pojedynczych jednostek muszą być skupione, a akcyę w tym kierunku musi poprzeć całe społeczeństwo polskie bez względu na kordony.

W myśl tych zasad ludzie w rozbiciu dotychczas pracujący łączą się w «Towarzystwo Opieki nad Unitami» i zwracają się do społeczeństwa z wezwaniem o czynne poparcie zmierzających w tym kierunku usiłowań.

Rozpoczynamy pracę trudną, trzeba bowiem zapoznać społeczeństwo z grożącem mu niebezpieczeństwem, trzeba oddziaływaniu kultury rosyjskiej przeciwstawić kulturalną pracę polską, trzeba zapewnić wszechstronną opiekę prześladowanym i gnębionym Unitom, trzeba im ułatwić wypełnianie obrządków religijnych, trzeba wreszcie stworzyć odpowiednią literaturę ludową.

Wszystko to wymaga wielkich wysiłków, czynów ofiarnych i znacznych zasobów materyalnych. Zwracamy się więc z wezwaniem o poparcie naszych usiłowań do tych, którzy bezpośrednio z ludnością unicką się stykają, jak również do wszystkich Polaków, chodzi tu bowiem o odparcie wroga, który wdziera się w sam środek Polski, o uchronienie przed prawosławiem i kulturą rosyjską kilku milionów ludzi, zamieszkujących ziemie dawnej Rzeczypospolitej. Jesteśmy przekonani, że w dobie obecnej, kiedy życie narodowe budzi się na całym obszarze dawnej Polski, licznych znajdziemy współpracowników i zdołamy wytworzyć siłę, która poprze dzielny lud w jego dążeniu do wytrwania w wierze katolickiej i w oporze przeciw prawosławiu i kulturze moskiewskiej.

Towarzystwo Opieki nad Unitami.

Warszawa, w sierpniu 1903 r.

Do ważnej tej sprawy w blizkiej przyszłości powrócimy.

KORESPONDENCYE.

Rapperswil 6 sierpnia.

Zjazd Rady Muzeum Narodowego.

Na tegorocznym zjeździe sierpniowym Rada Muzeum zebrała się w komplecie. Po podaniu się bowiem do dymisyi trzech członków, pp. E. Jerzmanowskiego, W. Eliasza i Aug. Sokołowskiego, którzy od dłuższego czasu nie mogli brać czynnego udziału w zarządzie instytucyą, komplet składał się z 12 członków, którzy wszyscy na zjazd przybyli. Paryż, Szwajcarya i kraj, ściślej mówiąc — Galicya, miały w tej liczbie po czterech przedstawicieli.

Przez powołanie do Rady jednogłośnym wyborem p. Władysława Turskiego, prezesa «Sokoła» z Krakowa, powiększona została liczba członków z kraju. Jak nam wiadomo, na dwa wakujące miejsca, które mają być zapełnione w roku przyszłym, postawiono wyłącznie kandydatury krajowe. Tym sposobem Muzeum Narodowe, założone na obczyźnie, dźwignięte siłami wychodztwa, stojące dziś pracą paru jego przedstawicieli, a przede-

wszystkiem niezmordowanego prezesa-dyrektora pułk. J. Gałęzowskiego, dąży nieustannie do oparcia się na społeczeństwie w kraju. Oby odpowiedziało temu zainteresowanie się ze strony społeczeństwa.

W roku ubiegłym śmierć zabrała kilku wybitnych członków honorowych, wieczystych i korespondentów. Zmarli: Henryka z hr. Dzieduszyckich Capelli, Jan Karłowicz, Witołd Leitgeber, Tadeusz Oksza-Orzechowski, ks. Adam Sapieha, ksiądz Ignacy Świeży, wreszcie dr. Tymowski.

W tym roku członkiem wieczystym mianowano p. A. S. z zaboru rosyjskiego; honorowym — panią Oksza-Orzechowską, ofiarodawczynię cennych przedmiotów i aktów, po jej mężu pozostałych, wreszcie korespondentami — p. A. Budzyńskiego, dyrektora szkoły polskiej w Paryżu, oraz pp. J. K. i S. K. z zaboru rosyjskiego.

Na zjeździe obecnym Rada przyjęła oficyalnie fundacyę p. J. K. z zaboru rosyjskiego, ofiarowującego Muzeum niezwykle cenną swą bibliotekę historyczną, głównie do dziejów XVII stul. odnoszących się, zawierającą przeważnie rzeczy stare, wśród nich niejedną rzadkość bibliograficzną, a obok niej — sumę 10.000 rubli na zakupy dzieł historycznych do biblioteki i na wydawnictwo źródeł dziejowych. Biblioteka, gromadzona przez parę pokoleń ludzi światłych, zamiłowanych w dziejach ojczystych, głównie zaś przez samego ofiarodawcę, oddającego się studyom historycznym, jest już w drodze do Rapperswilu, dar zaś pieniężny złożony został do rąk dyrekcyi podczas zjazdu w postaci akcyj bankowych, od których dochody po szeregu lat staną się używalnymi.

W związku z tem zapadła na zjeździe uchwała, powołująca do życia stałą komisyę historyczną, mającą opracować plan wydawnictwa źródeł i opracowań dziejowych z obfitych zasobów rękopiśmiennych biblioteki muzealnej. Komisya ta składać się ma z członków Rady, pp. W. Gasztowtta i Fr. Rawitę-Gawrońskiego, z członka korespondenta J. K., oraz z przedstawicieli nauki polskiej, którzy będą do niej zaproszeni.

Podczas zjazdu pracowały trzy komisye: finansowa, biblioteczna i stypendyalna. Pierwszej zadaniem było skontrolowanie rachunków, drugiej zapoznanie się ze stanem robót bibliotecznych, ostatniej wreszcie — przygotowanie dla Rady listy stypendystów na rok przyszły.

Na wniosek zeszłorocznej komisyi finansowej wprowadzono obecnie w życie instytucyę członków wspierających Muzeum z opłatą roczną 5 franków (= 5 koron = 2 ruble), która ma posłużyć do stałego zwiększenia dochodów Muzeum, skrępowanego dziś w rozwoju zbyt skromnym budżetem. Kwity na członków wspierających można wykupywać u poszczególnych członków Rady i korespondentów Muzeum.

Preliminowany na rok przyszły budżet wykazuje w dochodach 15.350 fr., w rozchodach zaś 14.245 fr.

Bibliotekarz Muzeum, p. Wacław Karczewski, przedstawił stan pracy nad katalogiem realnym, rozpoczętej niedawno i obliczonej mniej więcej na lat dziesięć, która, gdy będzie ukończona, uczyni bibliotekę rapperswilską wzorową pod tym względem.

Na wniosek komisyi bibliotecznej Rada przeznaczyła 2.000 fr. na wydawnictwo polskiego przewodnika po Muzeum, który prawdopodobnie ukaże się przed wiosną roku przyszłego.

Fundusz stypendyalny na rok przyszły wyniósł 11.960 fr., do czego przybyło 600 fr., złożone na posiedzeniu Rady. Z tego uchwalono 30 stypendyów (z wliczeniem trzech zapomóg jednorazowych). Stypendyści według studyów dzielą się na następujące specyalności: studya techniczne 13, medycyna 7, górnictwo 2, nauki teoretyczne 8; weług miejsca studyów: Zurych 7, Lwów 6, Kraków 4, Leoben 2, Gryfia 2, Darmsztad 2, Karlsruhe 2, Genewa, Rostok i parę innych szkół po 1.

Dowiadujemy się, iż paru członków Rady muzealnej ma zamiar w roku obecnym przygotować projekt zmiany praktykowanego w Muzeum systemu stypendyalnego w tym kierunku, ażeby znaczny bądź co bądź fundusz stypendyalny zaczął odegrywać większą rolę w naszej kulturalnej walce z rządami zaborczymi. Podstawą projektu ma być skierowanie zapomóg stypendyalnych tam, gdzie skutkiem polityki wrogów grozi nam brak na zagrożonych stanowiskach inteligencyi polskiej.

Kwestya stypendyalna była w r. b. urozmaicona na zjeździe tem, że dwaj delegaci «Związku młodzieży postępowej» przedstawili od tego stowarzyszenia żądanie, żeby Rada dopuszczała przedstawicieli młodzieży do obrad nad rozdziałem stypendyów. Rada prawie jednogłośnie (prócz jednego głosu) przeszła nad tem żądaniem do porządku dziennego.

Parę dni przedtem Komisya Nadzorcza Skarbu dała odprawę delegatom tegoż «Związku», domagającym się udziału w kontroli funduszów Skarbu.

Młodzież «postępowa» musi mieć mało roboty, skoro tyle czasu i energii traci na nieprzyzwoite wdzieranie się w nieswoje sprawy. *S.*

UWAGI.

Świeżo wybrany poseł okręgu katowickiego do parlamentu, p. W. Korfanty, kiedy mu księża śląscy z polecenia kardynała Koppa odmówili ślubu kościelnego, przybył z żoną do Krakowa, ażeby tu od polskich księży ślub dostać. Według prawa kanonicznego należało do tego zamieszkać na 6 tygodni w Krakowie, co też p. Korfanty i jego przyszła żona uczynili. Wśród duchowieństwa krakowskiego nikt nie przewidywał w tym względzie trudności.

Kiedy wszakże nadszedł termin ślubu, kardynał Puzyna, który świeżo powrócił z Rzymu, oświadczył, że na ślub nie może pozwolić. Gdy p. Korfanty zwrócił się do niego osobiście, odpowiedział mu krótko: «jeden Bóg — jedno prawo».

Założenie *veto* przeciw wyborowi Rampolli niewątpliwie zbliżyło kardynała Puzynę z Koppem, na zachowanie się więc w sprawie p. Korfantego trzeba może patrzeć jako na dowód lojalności w świeżo zawartej przyjaźni.

Z punktu widzenia katolickiego sprawa p. Korfantego przedstawia się jako frymarczenie sakramentami w celach politycznych, którego dopuściło się duchowieństwo śląskie z Koppem na czele, a obecnie ich śladem biskup krakowski. Duchowni, dobrzy katolicy — co, jak widzimy, nie

zawsze wśród duchowieństwa się zdarza — z którymiśmy o tej sprawie mówili, nie mogli powstrzymać swego oburzenia.

Z punktu widzenia polskiego mamy tu zsolidaryzowanie się polskiego dostojnika kościelnego z niemieckimi prześladowcami polskości. Obecny biskup krakowski nieraz już starał się stwierdzić swem postępowaniem, że nie należy do społeczeństwa polskiego, od którego czuje się odgrodzonym fioletami i purpurą. My tych przegród nie uznajemy i dlatego postępek ten piętnujemy jako czyn przeciwnarodowy. Bo nie idzie tu o kłopoty osobiste posła katowickiego, ale o uczucia, jakie ten postępek biskupa krakowskiego obudzi wśród Ślązaków, którzy zwykli patrzeć na Kraków, jako na swą świątynię narodową i religijną, na ucieczkę przed prześladowaniem niemieckiem i którzy tu przybywają w tłumnych pielgrzymkach.

Zachowanie się kardynała Puzyny więcej tym razem przynosi szkody sprawie polskiej, niż najzajadlejsze ataki hakatystów, i więcej szkodzi sprawie Kościoła, niż oszczerstwa rzucane nań przez najzacieklejszych bezwyznaniowców. Jeżeli tego nie zrozumiał, to tylko potwierdził słuszność opinii tych, co go uważają za niedość przytomnego umysłowo do zarządu dyecezyą.

* * *

We Lwowie wychodzi od półtora miesiąca *Tygodnik polski*, którego redakcya w numerze 1-szym, określając kierunek swój, oświadczyła: «...uczyniliśmy w każdym razie dla nas zaszczytny i zapewne szczęśliwy wybór, oddając pismo nasze w usługi idej propagowanych przez stronnictwo demokracyi narodowej, popularnie nazwane wszechpolskiem».

Jak czytelnik widzi, wydawca robił wybór między kierunkami i wybrał sobie «wszechpolski». Niech mu służy na zdrowie i niech się ziszczą jego nadzieje co do «szczęśliwego wyboru», przeciw któremu nic mieć nie możemy, jak nie mamy nic przeciw przedrukowywaniu naszch artykułów przez jakiekolwiek pismo, bo nie uważamy ich za towar na rynku literackim, ale za środek rozpowszechnienia swych myśli i zasad politycznych. Nie możemy się też wdawać w to, czy kto właściwie tego dobra używa. To też zajmujemy całkiem przedmiotowe stanowisko wobec nowego pisma, z którem nic nas prócz powyższego wyboru nie łączy, jak to w swoim czasie ogłosilo *Słowo polskie*.

Wobec tego, że oświadczenie naszego organu lwowskiego nie wpłynęło dostatecznie na świadomość niektórych pism, jak warszawskie *Ogniwo* i *Kraj* petersburski, ponawiamy je obecnie, prosząc tych panów, żeby nie doliczali do szeregu naszych zasług tego wydawnictwa, ale wpisali je na rachunek wydawcy i redaktora, p. F. Mrawinczyca we Lwowie.

KRONIKA.

ZABÓR ROSYJSKI.

= Kurator warszawskiego okręgu naukowego rozesłał między dyrektorów podwładnych mu szkól następujący okólnik:

«Sprawozdania profesorów uniwersytetu o pracach piśmiennych z języka rosyjskiego, wykonanych podczas egzaminów ostatecznych w gimnazyach i szkołach realnych okręgu,

dowodzą nizkiego stopnia znajomości języka rosyjskiego wśród kończących te szkoły. Fakt ten potwierdzają dane cyfrowe, a mianowicie, że 20·8% uczniów, dopuszczonych do egzaminów ostatecznych, złożyło niezadawalniające wypracowania z języka rosyjskiego; nie bacząc jednak na to, prawie wszyscy byli dopuszczeni do egzaminów ustnych i otrzymali świadectwa dojrzałości.

«Największą pobłażliwość w tym kierunku okazały rady pedagogiczne gimnazyów: kieleckiego, łódzkiego, łomżyńskiego, lubelskiego, radomskiego, praskiego i szkoły realnej warszawskiej. Znajdujące się w okręgu sprawozdania o egzaminach w gimnazyach i szkołach realnych okręgu w r. 1901—1902 świadczą o niepożądanych i szkodliwych odstępstwach od przepisów egzaminowych. Wreszcie przy osobistem zwiedzaniu całego szeregu zakładów średnich okręgu przez kuratora, w większości wypadków zwrócono uwagę na nizki poziom umiejętności uczniów, a zwłaszcza znajomości języka rosyjskiego; przytem zauważono, że w zakładach, posiadających większość uczniów pochodzenia polskiego, uczniowie klas starszych, prawie wszyscy bez wyjątku, znacznie gorzej władają mową rosyjską, niż wychowańcy klas niższych.

«Upatrując przyczyny powyższego zjawiska w praktykowanej w ostatnich czasach przez rady pedagogiczne zbytniej pobłażliwości przy egzaminach, w niczem nie wytłómaczonem obniżeniu wymagań ze strony nauczycieli, a także w braku dozoru ze strony przełożonych nad całokształtem nauki, kurator warszawskiego okręgu naukowego poleca dyrektorom średnich zakładów naukowych przedsięwziąć wszystkie zależne od nich środki do usunięcia na przyszłość wspomnianych braków».

= Ogłoszono drukiem sprawozdanie oberprokuratora Synodu z roku 1899. Ze sprawozdania tego wyjmujemy kilka cyfr, tyczących się unitów t. zw. «opornych», których liczba w sprawozdawczym roku wynosiła 81.000 osób (w r. 1897 Synod obliczał ich na 83.000), a oprócz tego było 7.000 osób «chwiejnych w wierze». Sprawozdanie stwierdza silny jeszcze wpływ na nich religii katolickiej, zwłaszcza w gubernii siedleckiej i suwalskiej. W pierwszej na 115 parafij prawosławnych, z ludnością 157.000, opornych było 62.000 osób, a chwiejnych 5.875 osób; stadeł żyjących bez błogosławieństwa cerkwi 9.766, a dzieci nieochrzconych 26.000. W gubernii suwalskiej w 7 parafiach z 14.000 ludności 9.270 osób należało do opornych, dzieci nieochrzconych liczono 1.875 i pożyć nieślubnych 619. Naogół w Królestwie przeszło 29.000 osób z byłej unickiej ludności żyło nieochrzconemi, a 10.727 stadeł bez błogosławieństwa kościelnego. Sprawozdanie narzeka na silną propagandę katolicką, przywiązuje natomiast wiele nadziei do wpływu szkółek cerkiewnych na młodzież i do działalności prawosławnych klasztorów żeńskich.

= W ostatnich dniach sierpnia odbyły się w Warszawie liczne aresztowania, jak się zdaje związane z istnieniem socyalistycznego «bundu» żydowskiego. Zaplątani są także chrześcijanie.

= Rząd paraliżuje wszelką akcyę ratunkową prywatną dla powodzian. W Kaliszu znany ze swego lojalizmu Radwan, redaktor *Gazety kaliskiej*, zebrał 1000 rb. dla powodzian. Początkowo sam gubernator Nowosilcow był przychylnie usposobiony do zbierania składek przez Radwana i nawet ofiarował 50 rb. Tymczasem cenzor w Kaliszu, Betcher, nie pozwolił Radwanowi na umieszczenie w swem piśmie pokwitowania ze składek na powodzian, oświadczając stanowczo: «inicyatywa w tej sprawie może wychodzić tylko od rządu, nie dopuścimy nigdy do inicyatywy prywatnej». Kiedy Radwan apelował od wyroku cenzora do gubernatora, ostatni wyrzekł: *„wy mienia podwieli“* i wyrok cenzora zatwierdził. Wówczas Betcher wytworzył komitet ratunkowy z samych urzędników i rozkazał Radwanowi owe 1000 rb. oddać do rozporządzenia tego komitetu.

= Z niedawno w *Warszawskim Dniewniku* ogłoszonego listu jenerała Puzyrewskiego w sprawie rosyjskiego teatru w Warszawie dowiadujemy się, że komisya teatralna zajmowała się na seryo projektem utworzenia stałej trupy rosyjskiej w Warszawie i doszła do wniosku, iż jest potrzebna koniecznie coroczna subwencya

w celu utrzymania odpowiedniej trupy i repertuaru.

W odprawie korespondentowi *Moskowskich Wiedomosti,* z którym polemizuje, a który żądał osobnego teatru rosyjskiego w Warszawie, jenerał Puzyrewskij zaznacza, że «360 widowisk rosyjskich rocznie w Warszawie, w obecnym stanie i przy dzisiejszych środkach towarzystwa rosyjskiego, jest rzeczą zupełnie niemożliwą; o tem dobrze wiedzą wszyscy, na mocy doświadczenia, zdobytego z niejednokrotnej gościny cesarskich teatrów, petersburskiego i moskiewskiego, oraz kilku trup prywatnych, odwiedzających Warszawę».

Komisya zajmowała się więc *de nomine* sprawą budowy ogólnego teatru, zamiast teatru Rozmaitości, a nie specyalnie rosyjskiego, *de facto* możnaby w nim później dawać rosyjskie przedstawienia; wszak «teatr Michałowski w Petersburgu był przez szereg lat miejscem prawie wyłącznych przedstawień francuskich, a nigdy się nie nazywał francuskim».

ZABÓR PRUSKI.

= Klerykom polskim w Paderbornie dać miano do podpisu pewien charakterystyczny dokument, który według *Gazety toruńskiej* brzmi, jak następuje: «Oświadczenie.

«Z polecenia najprzewielebniejszego ks. biskupa dra Wilhelma Schneidra oświadczył mi dyrektor konwiktu ponownie, że jakikolwiek udział w narodowo-polskiej agitacyi jest zupełnie niezgodny z obowiązkami, jakie przyjmuję przy święceniach kapłańskich i jakie mam wolę przyjąć.

«Uznając to niniejszem wyraźnie, oświadczam na honor i sumienie, że się zupełnie wolnym czuję od wszelkiej skłonności służenia narodowo-polskim interesom.

«Dalej oświadczam równocześnie, że pobierając wsparcie od Towarzystwa św. Józefata, w żaden sposób zobowiązanym się nie czuję brać udział w jakikolwiek sposób w wielkopolskiej agitacyi.

«Paderborn, 1 marca 1902».

Korespondent tejże gazety ks. Liss donosi o wielkim popłochu, jaki powstał wskutek tego żądania wśród kleryków Polaków. Chcieli oni seminaryum opuścić, lecz ks. Liss ich powstrzymał.

Do podpisu nie przyszło, zadowolono się bowiem ustnem tylko oświadczeniem, że młodzi kapłani nie będą się mieszali do agitacyi.

Oczywiście od kleryków Niemców nie wymagano przyrzeczenia, że się do narodowo-niemieckiej agitacyi mieszać nie będą. Udziału w niej nie uważano więc za «zupełnie niezgodny z obowiązkami» kapłana.

= Prezes rejencyi bydgoskiej, dr. Kruse, wydal w marcu b. r. okólnik do wszystkich landratów swego obwodu, aby użyli swego wpływu za pośrednictwem inspektorów szkolnych, w celu zniewolenia nauczycieli do zmiany nazwisk polskich na niemieckie. Zaleca zwracać się przedewszystkiem do nauczycieli chwiejnego charakteru. Do okólnika dołączył dr. Kruse spis nauczycieli z polskiemi nazwiskami.

= Niemiecki urząd statyczny ogłasza ostateczne rezultaty spisu ludności, dokonanego w r. 1900, w którym po raz pierwszy w całej Rzeszy niemieckiej uwzględniono język ojczysty. Z danych tych okazuje się, że na 56 milionów mieszkańców Rzeszy, 52 miliony czyli 92 na sto używa wyłącznie języka niemieckiego. W rubryce «dwujęzycznej» zapisało się 252.918 mieszkańców; w cyfrze tej znajduje się 169.634 Polaków. Nieniemiecką mowę ojczystą podało 4,231.129 mieszkańców, w tej liczbie znajduje się 3,086.489 Polaków

Co do procentowego stosunku ludności polskiej do niemieckiej w poszczególnych prowincyach, to okazuje się, że w Prusiech Wschodnich mieszka 78·7% Niemców, na Śląsku 72·3%, w Prusiech Zachodnich 64·4%, w Poznańskiem 38·1%.

W poszczególnych zaś powiatach stosunek ten przedstawia się zgoła odmiennie: w powiecie odolanowskim Polacy stanowią 90% ludności, w 16 powiatach 80%, w 41 powiatach przeszło 70%, w 51 powiatach Polacy stanowią przeszło połowę ogółu ludności.

Jeśli porównamy te cyfry z liczbą Polaków w r. 1900 i ze wzrostem ludności niemieckiej w ciągu ostatniego dziesięciolecia, to się okaże, że ludność polska pod względem liczebnym cofa się. W r. 1899 bowiem w całem państwie pruskiem na tysiąc mieszkańców wypadało 92·3 Polaków, w roku zaś 1900 tylko 88·9.

Najmocniej cofają się Polacy w Prusiech Wschodnich. Z 216.090 głów cofnęli się tam oni na 155.284, to znaczy, że ubyło Polakom 60.700 głów. W Prusiech Zachodnich Polacy stanowili w roku 1890 30%, w roku zaś 1900 — 28%.

Nieznaczny przyrost stosunkowy wykazuje Górny Ślązk, gdzie z 23% ludność polska w ciągu dziesięciolecia wzrosła do 23·6%. Najkorzystniej dla Polaków zmieniła się cyfra ludności w Wielkiem Księztwie Poznańskiem, gdzie z 59·8% podniosła się do 61·3%. W zachodnich prowincyach państwa pruskiego liczba Polaków znacznie wzrosła. Od roku 1890 do 1900 urośli Polacy w Hanowerze z 0·2% na 0·4%, w Nadrenii z 0·1% na 0·4%, w Westfalii z 1% na 2·9%. W dwóch powiatach — dortmundzkim i bochumskim Polacy stanowią przeszło 10% ogółu ludności.

Cyfry podane przez niemiecki urząd statystyczny należy oczywiście przyjmować z wielkiemi zastrzeżeniami. Spisy ludności odbywają się pod dużą presyą moralną ze strony urzędników, to też wielu Polaków na stanowiskach zależnych podaje jako swój ojczysty — język niemiecki. Znaczny przyrost głosów polskich podczas ostatnich wyborów wskazuje dość wyraźnie, że ludność polska — wbrew wykazom statystycznym — liczebnie się nie cofa. Z drugiej jednak strony i twierdzenie kanclerza Bülowa o nadzwyczajnej mnożności «królików polskich» jest niewątpliwie przesadne, obliczone na efekt nastraszenia Niemców.

= Na Górnym Ślązku powstało nowe towarzystwo pod nazwą «Towarzystwa ludowego dla katolików na Ślązku». Jak głosi odezwa nowego towarzystwa, ma ono za zadanie pogodzenie powaśnionych obozów na Górnym Ślązku. Tymczasem na pierwsze posiedzenie nie zaproszono przedstawicieli prasy wszechpolskiej; znajdowali się jedynie redaktorowie *Katolika.* Przytem podczas dyskusyi niejaki p. Musioł zajął stanowisko wręcz wrogie *Górnośląząkowi*; motywował założenie nowego towarzystwa potrzebą zwalczania prasy narodowej; przeciwstawiał tej ostatniej założycieli towarzystwa ludowego jako «wiernych poddanych duchowieństwa i Najjaśniejszego Pana». Na uczcie po zgromadzeniu tenże p. Musioł zamanifestował swe przekonania następującym toastem: «Żyjemy na Ślązku, jesteśmy Śląząkami i jako tacy jesteśmy poddanymi króla pruskiego, który nas tylu obdarza łaskami. Ja wznoszę toast na cześć Jego: Niech żyje Najjaśniejszy Pan, cesarz Wilhelm II. Niech żyje! Niech żyje!».

Szczegóły te świadczą, że w istocie nowe towarzystwo nie składa się z żywiołów narodowo skrajnych.

= *Posener Neueste Nachrichten* potwierdziły podaną przez pisma polskie a zaprzeczoną przez *Posener Tagblatt* wiadomość, że komisya kolonizacyjna odkupiła od Landbanku wielkie majątki niemieckie za bardzo wysoką cenę. Fakt ten daje owej gazecie powód do ostrej krytyki.

= Według urzędowego organu regencyi opolskiej w ciągu pierwszego kwartału r. b. wydalono z Górnego Ślązka jako »uciążliwych cudzoziemców», nie mających zarobku robotników galicyjskich, a mianowicie z okręgu bytomskiego 9 osób, z katowickiego 10, z okręgu Huty królewskiej 11. Nadto wydalono w tym czasie kilku robotników pochodzących z Królestwa, 1 ze Śląska, 3 z Moraw, 1 z Czech i 1 z Chorwacyi.

WYCHODZTWO I KOLONIE.

= Kongres polsko-katolicki w Buffalo ułożył memoryał do papieża w sprawie polskich biskupów w Ameryce. Żąda on ustanowienia biskupów-sufraganów przy arcybiskupach przynajmniej w sześciu prowincyach, posiadających znaczny procent polskiej ludności, jako to: chicagoska 261.000 Polaków, nowojorska 296.500, filadelfijska 306.000, Cincinnati 186.300, Milwaukee 178.460, St. Paul 139.500. Memoryał zwraca uwagę, że przez pomnożenie liczby biskupów doda się Kościołowi amerykańskiemu nowej ozdoby i siły i zarazem ulży się biskupom już mianowanym a zbytnio obciążonym.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Stanisław Nowicki.**

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.